

Arkadij i Borys Strugacy

# Daleka tęcza



## Próba

## ucieczki

Daleka Tęcza

## Rozdział I

Dłoń Tani, ciepła i nieco szorstka, leżała mu na oczach i nic poza tym go nie obchodziło. Czuł gorzko-słony zapach kurzu, kwiliły na wpół obudzone stepowe ptaki, a sucha trawa kłuła i łaskotała go w kark. Leżeć było twardo i niewygodnie, szyja okropnie swędziała, ale nie ruszał się, słuchając cichego, miarowego oddechu dziewczyny. Uśmiechał się i cieszyła go ciemność, bo ten uśmiech musiał być chyba nieprzyzwoicie głupi i zadufany.

Potem, całkiem nie na miejscu i nie na czasie, w laboratorium na wieży zajazgotał sygnał wywoławczy. A niech tam! Nie po raz pierwszy. Tego wieczora wszelkie wezwania są nie na miejscu i nie na czasie.

- Robiku - szepnęła Tania. - Słyszysz?

- Nie słyszę absolutnie niczego - wymruczał Robert.

Zamrugał, żeby powiekami połaskotać dłoń Tani. Wszystko było odległe i całkiem niepotrzebne. Patryk, wiecznie otepiał z niewyspania, był daleko. Malajew ze swoimi manierami Sfinksa Lodowego był jeszcze dalej. Cały ich świat bezustannego pośpiechu, ustawicznych przeintelektualizowanych rozmów, wiecznego niezadowolenia i zatroskania, cały ten wyzuty z wszelkich uczuć świat, gdzie gardzi się przejrzystością, gdzie cieszy tylko niezrozumiałość, gdzie ludzie zapomnieli, że są mężczyznami i kobietami - wszystko to znajdowało się daleko, bardzo daleko... Tutaj był tylko nocny step, pusty, rozciągający się na setki kilometrów, który wchłonął upalny dzień, ciepły step pełen ciemnych, podniecających zapachów.

Ponownie zajazgotał sygnał.

- Znowu - powiedziała Tania.

- Nie szkodzi. Mnie nie ma. Umarłem. Zjadły mnie ryjówki. Mnie i tak dobrze. Kocham cię. Nigdzie nie chcę iść. Z jakiej racji? Ty byś poszła?

- Nie wiem.

- To dlatego, że niedostatecznie kochasz. Człowiek, który kocha dostatecznie mocno, nigdy i nigdzie się nie szwenda.

- Teoretyk - stwierdziła Tania.

- Nie jestem teoretykiem. Jestem praktykiem. I jako praktyk pytam cię: z jakiej racji nagle miałbym gdzieś iść? Kochać trzeba umieć. A wy nie potraficie. Jesteście tylko zdolne do rozprawiania o miłości. Nie pragniecie kochać. Uwielbiacie tylko rozprawiać o kochaniu. Czy dużo paplam?

- Tak. Okropnie!

Zdjął rękę z jej oczu i położył sobie na ustach. Teraz widział niebo zasnutę obłokami i czerwone światełka rozpoznawcze na kratownicach wieży, na wysokości dwudziestu metrów. Sygnał jazgotał bez przerwy i Robert wyobraził sobie zagniewanego Patryka naciskającego klawisz wezwania i wydymającego z urazą swe dobre, pulchne wargi.

- Zaraz cię wyłączę - mruknął Robert niewyraźnie. - Taniku, jeśli zechcesz, uciszę go na zawsze. Niech już wszystko będzie na zawsze. Nasza miłość będzie na zawsze i on też zamilknie na zawsze.

W ciemnościach widział jej twarz - jasną, z ogromnymi, błyszczącymi oczami. Cofnęła rękę i

powiedziała:

- Lepiej ja z nim porozmawiam. Powiem, że jestem halucynacją. Nocą miewa się halucynacje.

- On nigdy nie miewa halucynacji. Taki już z niego człowiek, Tanieczko. Nigdy nie ulega złudzeniom.

- Chcesz, powiem ci, jaki on jest. Bardzo lubię odgadywać charaktery po dzwoneczkach wideofonicznych. To człowiek uparty, złośliwy i nietaktowny. I gdyby mu nawet obiecać gwiazdkę z nieba, nie siedziałby tak z kobietą po nocy w stepie. Oto jaki jest - widzę go jak na dłoni. A o nocy wie zaledwie tyle, że w nocy jest ciemno.

- Nie - odparł sprawiedliwy Robert. - Co prawda, to prawda: za gwiazdami rzeczywiście nie przepada. Ale za to jest poczciwy, łagodny i ślamazarny.

- Nie wierzę - obstawała przy swoim Tania. - Posłuchaj go tylko. - Przez chwilę wsłuchiwali się w jazgot sygnału. - Czyż tak postępuje niedojda? To jest oczywisty *tenacem propositi virum*. \* [\*Mąż uporczywy w swoich zamiarach (Horacy).]

- Czyżby? Powiem mu.

- Powiedz. Idź i powiedz.

- Zaraz?

- Natychmiast.

Robert wstał, a ona dalej siedziała, oplatając rękoma kolana.

- Tylko pocałuj mnie najpierw - poprosiła.

W kabinie windy przywarł czołem do zimnej ściany i przez pewien czas tak stał, z zamkniętymi oczami, śmiejąc się i oblizując wargi. W głowie nie pozostała ani jedna myśl, tylko jakiś triumfujący głos bez ładu i składu wrzeszczał jak opętany: "Kocha!... Mnie!... Mnie kocha!... Ludzie, mówię wam!... Mnie!.. Potem zauważył, że kabina dawno się zatrzymała i spróbował otworzyć drzwi. Nie od razu je znalazł, a w laboratorium znajdowało się mnóstwo zbytecznych mebli: wywracał krzesła, wpadał na stoły i zderzał się z szafami, dopóki nie uświadomił sobie, że zapomniał zapalić światło. Zanosząc się śmiechem namacał kontakt, podniósł przewrócony fotel i usiadł przy wideofonie.

Kiedy na ekranie pojawił się zaspany Patryk, Robert przywitał go po przyjacielsku:

- Dobry wieczór, prosiaczkule! I czemu cię tak męczy bezsenność, sikoreczko ty moja, pliszczyko droga?

Patryk patrzył nań ze zdumieniem, mrugając bez ustanku zaczerwienionymi powiekami.

- Co tak patrzysz, piesku? Jazgotałeś, jazgotałeś, oderwałeś mnie od ważnych zajęć, a teraz milczysz?!

Patryk wreszcie otworzył usta.

- Tobie... Ty... chyba masz... - Stuknął się palcem w czoło, a jego twarz przybrała pytający wyraz. - He?...

- Jeszcze jak! - wrzasnął Robert. - Samotność! Tęsknota! Przeczucia! I w dodatku halucynacje! O mało co o nich nie zapomniałem!

- Nie żartujesz? - spytał serio Patryk.

- Skądże znowu! Na posterunku się nie żartuje. Ale nie zwracaj na to uwagi i przystępuj do rzeczy.

Patryk wciąż mrugał powiekami, całkiem zbity z tropu.

- Nie rozumiem - przyznał się.

- Nic dziwnego - rzucił złośliwie Robert. - To emocje, Patryku! Jak by ci tu najprościej, najprzystępniej... Powiedzmy, nie dające się całkowicie zalgorytmizować pobudzenia w układach logicznych o wysokim stopniu złożoności. Dotarło?

- Aha! - powiedział Patryk. Potarł palcami podbródek, koncentrując się. - Dlaczego do ciebie zadzwoniłem, Robiku? Otóż chodzi o to, że znowu mamy gdzieś przebiecie. Może to nie jest przebiecie, a może i jest. Na wszelki wypadek sprawdź ulmotrony. Jakaś dziwna ta Fala dzisiaj...

Robert z zakłopotaniem popatrzył przez otwarte na oścież okno. Całkiem zapomniał o wybuchu. Okazuje się, że tkwią tu ze względu na wybuchy. Nie dlatego, że tutaj jest Tania, lecz z tego powodu, że gdzieś tam pojawiła się Fala.

- Czemu milczysz? - cierpliwie spytał Patryk.

- Patrzę, co z Falą - odburknął gniewnie Robert.

Patryk wytrzeszczył oczy.

- Widzisz Falę?

- Ja? Co ci strzeliło do głowy?

- Przecież sam powiedziałeś przed chwilą, że na nią patrzysz?

- Owszem, patrzę!

- No i co?

- I tyle. Czego ty ode mnie chcesz?

Oczy Patryka znów zmętniały.

- Nie zrozumiałem cię - wyjaśnił. - O czym to właśnie mówiliśmy? Aha! Już wiem. Koniecznie sprawdź ulmotrony.

- Rozumiesz, co mówisz? Jak mogę sprawdzić ulmotrony?

- No, jakoś tam - odpowiedział Patryk. - Chociaż same podłączenia... Coś tu nam się zupełnie poplątało. Zaraz ci wytłumaczę. Dzisiaj w instytucie wysłali na Ziemię masę... Zresztą to wszystko wiesz. - Patryk pomachał przed swoją twarzą rozczapierzonymi palcami. - Oczekiwaliśmy Fali o wielkiej mocy, a tymczasem rejestruje się jakąś mizerniutką fontannę. Rozumiesz, o co chodzi? Taka mizerniutka fontanna... Malusieńka... - Przywarł do swego wideofonu tak, że na ekranie pozostało tylko ogromne, zmętniałe od bezsenności oko. Oko często mrugało. - Zrozumiałeś? - ogłuszająco zagrzmiało w głośniku. - Nasza aparatura rejestruje quasi-zerowe pole. Licznik Younga daje minimum... Można to zignorować. Pola ulmotronów wyrównują się w taki sposób, że rezonująca powierzchnia leży w ogniskowej hiperpłaszczyźnie, wyobrażasz sobie? Quasi-zerowe pole jest dwunastowymiarowe, odbiornik składa je według sześciu parzystych składowych. Ognisko jest więc sześciowymiarowe.

Robert pomyślał o Tani, jak cierpliwie siedzi na dole i czeka. Patryk bez przerwy brzęczał nad uchem, przysuwając się i odsuwając, jego głos to dudnił, to stawał się ledwie słyszalny i Robert, jak zawsze, bardzo szybko stracił wątek rozważań. Kiwał głową, malowniczo marszczył czoło, unosił i opuszczał brwi, ale absolutnie niczego nie rozumiał i z uczuciem nieznośnego wstydu myślał, że Tania siedzi tam, na dole, z podbródkiem przyciśniętym do kolan, i czeka, aż on zakończy swoją ważną i niedocieczoną dla

niewtajemniczonych rozmowę z czołowymi fizykami-zerowcami planety, aż wyjaśni czołowemu fizykom-zerowcom swój zupełnie oryginalny punkt widzenia w sprawie, z powodu której niepokoją go tak późną nocą, i aż czołowi fizycy-zerowcy, dziwiąc się i kręcąc z niedowierzaniem głowami, zapiszą ten punkt widzenia w swoich notesach.

Wtem Patryk zamilkł i popatrzył nań z dziwnym wyrazem twarzy. Robert świetnie znał taki grymas, prześladował go bowiem przez całe życie. Różni ludzie - i mężczyźni, i kobiety - patrzyli na niego w ten sposób. Z początku spoglądali nań obojętnie lub zyczliwie, następnie wyczekująco, potem z ciekawością, ale wcześniej czy później nadchodził moment, kiedy zaczynali patrzeć na niego właśnie tak. I za każdym razem nie miał pojęcia co robić, co mówić i jak się zachowywać. I jak dalej żyć.

Zarzykował.

- Chyba masz rację - oświadczył zafrasowany. - Ale to trzeba dokładnie przemyśleć.

Patryk spuścił oczy.

- Więc przemyśl - powiedział uśmiechając się niezręcznie. - I proszę, nie zapomnij sprawdzić ulmotronów.

Ekran zgasł i zaległa cisza. Robert siedział zgarbiony, wczepiwszy się oburącz w zimne, chropowate poręcze. Ktoś kiedyś powiedział, że jeśli dureń rozumie, że jest durniem, tym samym przestaje nim być. Może kiedyś tak właśnie było. Ale wypowiedziana bzdura zawsze jest bzdurą, a ja w żaden sposób nie potrafię inaczej. Jestem bardzo ciekawym człowiekiem: wszystko, co mówię, okazuje się truizmem, wszystko, o czym myślę - banałem, wszystko, co udało mi się zrobić, zostało zrobione przed wiekami. Jestem nie tylko zakutą pałą, ale wręcz zakutą pałą rzadkiej klasy, muzealnym eksponatem jak hetmańska buława. Przypomniał sobie, jak stary Niczeporenko popatrzył pewnego razu w zadumie w jego pełne oddania oczy i oświadczył: "Drogi Sklarow, jest pan zbudowany jak antyczny bóg. I jak każdy bóg, proszę mi wybaczyć, nie ma pan nic wspólnego z nauką..."

Coś trzasnęło. Robert zaczerpnął oddechu i ze zdumieniem wlepił wzrok w żalodne szczątki poręczy, ściśnięte w zbielałej pięści.

- Tak - powiedział na głos. - To potrafię. Patryk nie potrafi. Niczeporenko też nie potrafi. Tylko ja jeden potrafię.

Położył resztki poręczy na stole, wstał i podszedł do okna. Za oknem było ciemno i gorąco. Może powinienem odejść sam, zanim mnie wypędzą? Tak, ale jak będę mógł bez nich żyć? I bez tego zadziwiającego uczucia pojawiającego się każdego rana, że może dzisiaj pięknie wreszcie niewidzialna i nieprzepuszczalna błona w mózgu, która powoduje, że nie jestem jak oni, i także zacznę rozumieć ich w pół słowa, i nagle ujrzę w gąszczu symboli logiczno-matematycznych coś zupełnie nowego, a Patryk poklepie mnie po ramieniu i powie radośnie: "A to ci się fajnie udało! Toś ty taki?", a Malajew wydusi z siebie od niechcienia: "Nieźle, nieźle... Cicha woda..." I od tej pory zacznę siebie szanować.

- Monstrum - wymamrotał.

Trzeba sprawdzić ulmotrony, a Tania niech posiedzi i popatrzy, jak się to robi. Dobrze jeszcze, że nie widziała mojej facjaty, kiedy zgasł ekran.

- Tanieczko - zawołał przez okno.

- Tak?

- Taniu, czy wiesz, że w ubiegłym roku pozowałem Rogerowi do “Młodości Świata”?

Tania po chwili milczenia powiedziała cicho:

- Zaczekaj, wjadę tam do ciebie.

Robert wiedział, że ulmotrony są w porządku, czuł to. Mimo to postanowił sprawdzić wszystko, co można było sprawdzić w warunkach laboratoryjnych, po pierwsze, żeby odsapnąć po rozmowie z Patrykiem, a po drugie, że umiał i lubił pracować rękami. Taka praca zawsze stanowiła dlań rozrywkę i na jakiś czas dawała mu radosne poczucie własnej ważności i niezbędności, bez którego niepodobna żyć w naszych czasach.

Tania - miła, delikatna osóbką - z początku w milczeniu siedziała nie opodal, a potem, w dalszym ciągu milcząc, zaczęła mu pomagać. O trzeciej w nocy znowu zadzwonił Patryk i Robert oznajmił, że żadnego przebicia nie ma. Patryk był stropiony. Przez pewien czas sapał przed ekranem, podliczając coś na świstku papieru, potem zwinął papier w trąbkę i zgodnie ze swoim zwyczajem zadał retoryczne pytanie: “I cóż mamy o tym myśleć, Rob?”

Robert zerknął na Tanie, która dopiero co wyszła spod prysznic i cichutko przysiadła sobie poza zasięgiem kamery wideofonu, i ostrożnie odpowiedział, że w ogóle nie widzi w tym niczego szczególnego. “Najzwyklejsza kolejna fontanna”, oświadczył. “Taka była po wczorajszym transporcie zerowym. I w ubiegłym tygodniu taka sama.” Potem pomyślał i dodał, że moc fontanny odpowiada około stu gramom przetransportowanej masy. Patryk wciąż milczał i Robertowi wydało się, że jego rozmówca się waha. “Chodzi tylko o masę”, rzekł Robert. Popatrzył na licznik Younga i całkiem już pewnym głosem powtórzył: “Tak, sto - sto pięćdziesiąt gramów. Ile dzisiaj wyekspediowali?...” “Dwadzieścia kilogramów”, odpowiedział Patryk. “Ach, dwadzieścia kilo... W takim razie nie zgadza się.” I nagle Robert doznał olśnienia: “A według jakiego wzoru podliczaliście moc?” zapytał. “Według Drambata,” obojętnie odparł Patryk. Robert tak właśnie myślał: wzór Drambata pozwalał obliczyć tylko w przybliżeniu wartość mocy, a Robert już dawno przyszykował sobie swój własny, skrupulatnie sprawdzony i wykaligrafowany, a nawet obwiedziony kolorową ramką uniwersalny wzór na oszacowanie mocy erupcji zwyrodniałej materii. I teraz nadszedł chyba najbardziej odpowiedni moment, aby zademonstrować Patrykowi wszystkie zalety wzoru.

Robert już chwycił za ołówek, ale właśnie wtedy Patryk zniknął z ekranu. Robert czekał, przygryzając wargę. Ktoś zapytał: “Zamierzasz wyłączyć?” Patryk się nie odzywał. Do ekranu podszedł Karl Hoffman, trochę z roztargnieniem, trochę z życzliwością skinął Robertowi głową i zwrócił się do kogoś stojącego z boku: “Patryku, będziesz jeszcze rozmawiał?” Głos Patryka zabrzmiał z daleka: “Nic nie rozumiem. Trzeba będzie zająć się tym solidnie.” “Pytam, czy będziesz jeszcze rozmawiał,” powtórzył Hoffman. “Ależ nie, nie...” z rozdrażnieniem odezwał się Patryk. Wówczas Hoffman, uśmiechając się przepraszająco, powiedział: “Wybacz, Robiku, ale właśnie kładziemy się spać. Wyłączę, co?”

Ścisnąwszy zęby z taką siłą, że aż zatrzeszczało za uszami, Robert ostentacyjnie powolnym ruchem położył przed sobą kartkę papieru, kilka razy pod rząd napisał bezcenny wzór, wzruszył ramionami i powiedział z ożywieniem:

- Tak właśnie myślałem. Wszystko jasne. Teraz będziemy pić kawę.

Wydawał się samemu sobie wstrętnym nie do zniesienia, więc siedział przed szafką z naczyniami,

dopóki nie poczuł, że odzyskał na nowo panowanie nad twarzą. Tania zadysponowała:

- Zaparzysz kawę, dobrze?
- Dlaczego ja?
- Ty będziesz zaparzał, a ja sobie popatrzę.
- O co ci chodzi?
- Lubię patrzeć, jak pracujesz. Pracujesz w sposób doskonały. Nie robisz ani jednego zbytecznego ruchu.

- Jak cyber - powiedział, ale było mu przyjemnie.
- Nie. Nie jak cyber. Pracujesz w sposób doskonały. A wszelka doskonałość zawsze cieszy.
- "Młodość Świata" - mruknął. Poczzerwieniał z zadowolenia.

Rozstawił filiżanki i przysunął stolik do okna. Usiedli, nalał kawy. Tania siedziała odwrócona do niego bokiem, z nogą założoną na nogę. Była olśniewająco piękna i znowu opanowały go wręcz szczenięcy zachwyty i konsternacja.

- Taniu - powiedział. - To nie może być prawda. Jesteś halucynacją.

Uśmiechnęła się.

- Możesz się śmiać do woli. Ja i bez tego wiem, że wyglądam teraz żałośnie. Ale nic na to nie mogę poradzić. Mam ochotę wsunąć ci głowę pod pachę i merdać ogonem. I żebyś poklepała mnie po grzbiecie i powiedziała: "A fe, głuptasie, fe!..."

- A fe, głuptasie, fe! - powtórzyła Tania.
- A po grzbiecie?
- Po grzbiecie potem. Głowę pod pachę też później.
- Zgoda, później. A teraz? Chcesz, zrobię sobie obrozę. Albo kaganiec...
- Nie trzeba kagańca - zaprotestowała Tania. - Na co możesz mi się przydać w kagańcu?
- A na co mogę ci się przydać bez kagańca?
- Bez kagańca podobasz mi się.
- Halucynacja słuchowa - powiedział Robert. - Co ci się we mnie może podobać?
- Masz ładne nogi.

Nogi były słabym punktem Roberta: silne, ale zbyt grube. "Młodość Świata" miała nogi Karla Hoffmana.

- Tak właśnie myślałem - odpowiedział Robert. Jednym haustem wypił wystygłą kawę. - Więc powiem, za co cię kocham. Jestem egoistą. Być może ostatnim egoistą na świecie. Kocham cię za to, że jesteś jedynym człowiekiem zdolnym wprowadzić mnie w dobry nastrój.

- To moja specjalność! - powiedziała Tania.
- Wspaniała specjalność! Szkoda tylko, że wprowadzasz w dobry nastrój i starych, i młodych.

Szczególnie młodych. Osoby całkowicie obce. Z normalnymi nogami.

- Dziękuję, Robiku.
- Ostatnim razem w Dziecięcej Wiosce zauważyłem jednego malca. Na imię ma Walek... czy Basik... Taki płowowłosy, piegowaty, z zielonymi oczami.
- Chłopiec Basik - wtrąciła Tania.



- Nie czepiaj się. Oskarżam ja. Ten Basik, czy jak mu tam, śmiał swoimi zielonymi oczami patrzeć na ciebie tak, że aż mnie ręce świerzbiły.

- Zazdrość zapamiętałego egoisty.

- Jasne, że zazdrość.

- A teraz wyobraź sobie, jak musi zazdrościć.

- Cooo?

- I wyobraź sobie, jakimi oczami on patrzył na ciebie. Na dwumetrową "Młodość Świata". Atletę, chłopaka jak malowanie, fizyk-zerowiec niesie wychowawczynię na ramieniu, a wychowawczynie rozplywa się z miłości...

Robert roześmiał się uszczęśliwiony.

- Tanieczko, jakże to tak? Przecież byliśmy wtedy sami?

- To wy, mężczyźni, możecie być sami. My w Dziecięcej Wiosce nigdy same nie bywamy.

- Ta-ak... - przeciągnął Robert. Pamiętam te czasy, pamiętam. Przystojne wychowawczynie i my - piętnastoletni hultaje... Doszło do tego, że rzucałem kwiaty przez okno. Słuchaj, czy to zdarza się często?

- Bardzo - odpowiedziała w zadumie. - Szczególnie z dziewczętami. Wcześniej się rozwijają. A wiesz, jacy są u nas wychowawcy. Astronaucci, bohaterowie... To na razie ślepy zaułek w naszej pracy.

Ślepy zaułek, pomyślał Robert. I ona, oczywiście, bardzo się cieszy z tego ślepego zaułka. Oni wszyscy cieszą się z takich ślepych zaułków. Dla nich to wspaniały pretekst do burzenia murów. I tak przez całe życie burzą jeden mur po drugim.

- Taniu - powiedział. - Co to takiego dureń?

- Wyzwisko - odpowiedziała Tania.

- A poza tym?

- Chory, któremu nie pomagają żadne lekarstwa.

- To wcale nie dureń - zaproponował Robert. - To symulant.

- To nie ja. To japońskie przysłowie: "nie ma takiego lekarstwa, które uleczy durnia".

- Aha! - powiedział Robert. - Czyli że zakochany to także dureń, mówi się bowiem: "zakochany jest chory i nie można go wyleczyć". Pocieszyłaś mnie.

- Czyżbyś był zakochany?

- Nie można mnie wyleczyć.

Chmury rozsnuły się i odsłoniły gwiazdziste niebo. Zbliżał się poranek.

- Spójrz, tam jest Słońce - powiedziała Tania.

- Gdzie? - spytał Robert bez szczególnego entuzjazmu.

Tania wyłączyła światło, usiadła mu na kolanach i przycisnąwszy policzek do jego policzka, zaczęła pokazywać.

- O, tam - te cztery jasne gwiazdy - widzisz? To Warkocz Pięknej. Na lewo od najwyższej świeci taka słabiu-u-tka gwiazdka. To nasze Słońce...

Robert wziął ją na ręce, wstał, ostrożnie ominął stolik i dopiero wtedy w zielonkawym, mrocznym świetle przyrządów zobaczył długą ludzką postać w fotelu przed stołem roboczym. Wzdrygnął się i zatrzymał.

- Myślę, że teraz można zapalić światło - powiedział człowiek i Robert już wiedział, kto to jest.

- I zjawił się trzeci - zadeklamowała Tania. - Puść mnie, Robiku.

Uwolniła się z jego objęć i schyliła, szukając pantofla.

- Wiesz co, Kamilu... - zaczął Robert z rozdrażnieniem.

- Wiem - uciął Kamil.

- Istny cud - przemówiła Tania zakładając pantofel. - Nigdy nie uwierzę, że gęstość zaludnienia wynosi u nas jedną osobę na milion kilometrów kwadratowych. Może kawy?

- Nie, dziękuję - powiedział Kamil.

Robert zapalił światło. Kamil, jak zawsze, siedział w wyjątkowo niewygodnej, zadziwiająco nieprzyjemnej dla oczu pozie. Jak zawsze miał na głowie biały plastikowy kask zakrywający czoło i uszy, i jak zawsze jego twarz wyrażała pobłażliwe znudzenie; nie można było dostrzec ani zaciekawienia, ani zmieszania w jego okrągłych, nieruchomych oczach. Robert, mrużąc oczy od światła, zapytał:

- Może chociaż jesteś tu od niedawna?

- Od niedawna. Ale nie patrzyłem na was i nie słuchałem, co mówicie.

- Dziękuję - wesoło powiedziała Tania. Akurat się czesała. - Jesteś bardzo taktowny.

- Tylko próżniacy są nietaktowni - rzekł Kamil.

Robert rozzłościł się.

- A propos, czego tu szukasz? I cóż to za dokuczliwa maniera pojawiać się jak widmo.

- Odpowiadam w kolejności zadanych mi pytań - spokojnie wygłosił Kamil. To także była jego maniera - udzielać odpowiedzi w kolejności zadawanych pytań. - Przyjechałem, ponieważ zaczyna się erupcja. Wiesz doskonale, Robi - nawet oczy zamknął z nudów - że przyjeżdżam tutaj za każdym razem, kiedy przed frontem twojej placówki zaczyna się erupcja. Ponadto... - Otworzył oczy i przez pewien czas w milczeniu patrzył na przyrządy. - Ponadto czuję do ciebie sympatię.

Robert zerknął na Tanie. Tania słuchała bardzo uważnie, zamartwiony z uniesionym do góry grzebieniem.

- Co się zaś tyczy moich manier - kontynuował Kamil monotonicznie - są dziwaczne. Maniery każdego człowieka są dziwaczne. Naturalne wydają się wyłącznie własne maniery.

- Kamilu - powiedziała Tania nieoczekiwanie. - Ile to będzie sześćset osiemdziesiąt pięć razy trzy miliony osiemset tysięcy pięćdziesiąt trzy?

Ku swemu ogromnemu zdziwieniu Robert dostrzegł, jak na twarzy Kamila pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Widowisko było niesamowite. Tak właśnie mógłby się uśmiechać licznik Younga.

- Dużo - odpowiedział Kamil. - Coś około trzech miliardów.

- Dziwne - westchnęła Tania.

- Co dziwne? - zapytał Robert mało błyskotliwie.

- Mała dokładność - wyjaśniła Tania. - Kamilu, powiedz, czemu nie miałbyś wypić filiżanki kawy?

- Dziękuję, nie lubię kawy.

- Wobec tego do widzenia. Do Wioski mam ze cztery godziny lotu. Robiku, odprowadzisz mnie na dół?

Robert skinął głową i z irytacją popatrzył na Kamila. Kamil obserwował licznik Younga. Zupełnie

jakby przeglądał się w lustrze.

Jak zwykle na Tęczy, słońce weszło na zupełnie czystym niebie - malutkie, białe słońce otoczone potrójnym halo. Nocny wiatr ucichł i zrobiło się jeszcze duszniej. Żółto-brązowy step z lysinami solnisk sprawiał wrażenie martwego.

Nad solniskami utworzyły się chybotliwe pagórki z mgły - opary lotnych soli.

Robert zaniknął okno i włączył klimatyzację, następnie bez pośpiechu i z przyjemnością zreperował poręcz. Kamil miękko i bezszelestnie przechadzał się po laboratorium, spoglądając od czasu do czasu przez okno wychodzące na północ. Widocznie wcale nie było mu gorąco. Robert zaś pocił się na sam widok grubej białej kurtki, długich białych spodni, okrągłego, błyszczącego kasku. Takie kaski zakładali niekiedy podczas eksperymentów fizycy-zerowcy: chroniły przed promieniowaniem.

Czekał go całodzienny dyżur, dwanaście godzin piekącego słońca nad dachem, dopóki nie zostaną wessane erupcje i nie znikną wszystkie skutki wczorajszego eksperymentu. Robert zrzucił kurtkę i spodnie, pozostał jedynie w spodenkach. Klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach i nic więcej nie można było zrobić.

Gdyby tak chlusnąć na podłogę trochę płynnego powietrza. Płynne powietrze wprawdzie jest, ale nie ma go za wiele, a bez niego nie może obejść się generator. Trzeba będzie pocierpieć, pomyślał Robert pokornie. Znowu usiadł przed przyrządami. Fajnie, że chociaż w fotelu jest chłodniej i obicie wcale się nie lepi do ciała.

Koniec końców podobno najważniejsze to być na swoim miejscu. Moje miejsce jest tutaj. I nie gorzej od innych spełniani swoje małe obowiązki. Ostatecznie nie moja wina, że nie jestem zdolny do czegoś większego. Nawiasem mówiąc, nawet nie o to chodzi, czy jestem na miejscu, czy nie. Po prostu nie mogę stąd odejść, choćbym nawet zechciał. Po prostu jestem przykuty do tych ludzi, którzy mnie drażnią, i do tego wspaniałego przedsięwzięcia, z którego tak mało rozumiem.

Przypomniawszy sobie, jak jeszcze w szkole zafascynował go ten problem: momentalne przerzucanie ciał materialnych przez otchłanie przestrzeni. Zadanie zostało postawione na przekór wszystkiemu, na przekór wszelkim tradycyjnym wyobrażeniom o przestrzeni absolutnej, o czasoprzestrzeni, o przestrzeni kappa... Wówczas nazywano to "przekłuciem fałdy Riemanna". Potem mówiło się o "superprzenikaniu", "sigmaprzenikaniu", "zwijaniu zerowym". I wreszcie pojawiły się terminy "transport zerowy" lub krócej "T-zero", "urządzenie T-zero", "problematyka T-zero", "eksperymentator T-zero", "zero-fizyk" względnie "fizyk-zerowiec". "Gdzie pan pracuje?" - "Jestem fizykiem-zerowcem". Pełne podziwu i zachwytu spojrzenie. - "Niech no pan mi opowie z łaski swojej, cóż to takiego fizyka zerowa. Zupełnie nie potrafię zrozumieć." - "Ani ja!" No ta-ak...

Ogólnie rzecz biorąc, coś niecoś można by było opowiedzieć. I o zdumiewającej metamorfozie elementarnego prawa równoważności materii i energii, kiedy to przerzut zerowy malutkiego platynowego sześcianu na równiku Tęczy wywoływał na jej biegunach - z jakiegoś powodu właśnie na biegunach! - gigantyczne fontanny zwyrodniałej materii, ogniste gejzery, od których traci się wzrok, i straszną czarną Falę, śmiertelnie niebezpieczną dla wszystkiego co żyje...

I o zaciekłych, przerażających swą bezwzględnością starciach w środowisku samych fizyków-

zerowców, o tym niepojętym rozłamie wśród wspaniałych ludzi, którzy, jak by się wydawało, powinni pracować ramię w ramię, a jednak poróżnili się (choć wiedzą o tym nieliczni) i o ile Etienne Lamondois z uporem utrzymuje fizykę zerową w głównym nurcie tematyki transportu zerowego, o tyle szkoła młodych uważa za rzecz najważniejszą Falę, będącą niewątpliwie nowym dżinem nauki, wyrwującym się z butelki.

I o tym, że do tej pory z niejasnych powodów w żaden sposób nie daje się urzeczywistnić transport zerowy żywej materii i nieszczęsne psy, wieczni męczennicy, przybywają na miejsce przeznaczenia w postaci kawałków organicznego żużla... I o zero-oblatywaczach, "wyjącej dziesiątce" ze wspaniałym Gabą na czele, zdrowych, superwytrenowanych chłopakach, którzy już trzy lata wałęsają się po Tęczy w ciągłej gotowości wejścia do kabiny startowej zamiast psa...

- Wkrótce się rozstaniemy, Robi - powiedział nagle Kamil. Robert, który akurat przysnął, drgnął. Kamil stał przy północnym oknie odwrócony do niego plecami. Robert wyprostował się i przesunął ręką po twarzy. Dłoń od razu zrobiła się mokra.

- Dlaczego? - spytał.

- Nauka. Jakie to beznadziejne, Robi!

- To wiem od dawna - burknął Robert.

- Dla was nauka to labirynt. Ślepe uliczki, ciemne zaułki, nagle zakręty. Niczego nie widzicie oprócz murów. I nic nie wiecie o ostatecznym celu. Oświadczyliście, że waszym celem jest dojście do końca nieskończoności, czyli po prostu oświadczyliście, że cel nie istnieje. Miarą waszego sukcesu jest nie droga do mety, lecz droga do startu. Macie szczęście, że nie jesteście zdolni do realizowania abstrakcji. Cel, wieczność, nieskończoność - to dla was jedynie słowa. Abstrakcyjne kategorie filozoficzne. W waszym powszednim życiu nie oznaczają niczego. A gdybyście tak zobaczyli cały ten labirynt z góry...

Kamil zamilkł. Robert odczekał chwilę i zapytał:

- A ty widziałeś?

Kamil nie odpowiedział i Robert postanowił nie nalegać. Westchnął tylko, oparł podbródek na pięściach i przymknął oczy. Człowiek mówi i działa, myślał. I są to wszystko zewnętrzne przejawy jakichś procesów w głębi jego istoty. Większość ludzi ma naturę dosyć płytką i dlatego każdy jej ruch natychmiast przejawia się zewnętrznie, z reguły w postaci pustej paplaniny i bezmyślnego wymachiwania rękami. Natomiast u takich ludzi jak Kamil te procesy muszą być niewiarygodnie spotęgowane, inaczej nie przebiłyby się w ogóle na powierzchnię. Zajrzeć by mu do środka chociaż jednym okiem! Robert zobaczył oczami duszy ziejącą otchłań, a w jej głębi gwałtownie przesuujące się, bezkształtne, fosforyzujące cienie.

Nikt go nie lubi. Wszyscy go znają - nie ma na Tęczy człowieka, który nie znałby Kamila - ale nikt, absolutnie nikt go nie lubi. W takiej samotności ja bym zwariował, a Kamila, zdaje się, to zupełnie nie interesuje. Zawsze jest sam. Nie wiadomo, gdzie mieszka. Pojawia się niespodziewanie i niespodziewanie znika. Jego biały kask można zobaczyć a to w Stolicy, a to na pełnym morzu, przy czym są ludzie zapewniający, że nieraz widziano go jednocześnie i tu, i tam. To już naturalnie lokalny folklor, ale cokolwiek by się nie mówiło o Kamilu, pobrzmiwa dziwną anegdotą. Ma dziwaczną manierę przeciwstawiania siebie innym: "ja" i "wy". Nikt nigdy nie widział, jak pracuje, ale od czasu do czasu pojawia się w Radzie i mówi tam niezrozumiałe rzeczy. Niekiedy udaje się go zrozumieć i w takich wypadkach nikt nie jest w stanie zaoponować. Lamondois powiedział coś w tym rodzaju, że przy Kamilu

czuje się głupim wnukiem mądrego dziadka. W ogóle odnosi się wrażenie, że wszyscy fizycy na planecie od Etienne'a Lamondoisa po Roberta Sklarowa są na tym samym poziomie...

Robert poczuł, że jeszcze trochę i ugotuje się we własnym pocie. Wstał i poszedł pod prysznic. Stał pod lodowatymi strumieniami, dopóki skóra nie pokryła się z zimna gęsią skórką i nie zniknęło pragnienie, żeby wejść do lodówki i zasnąć.

Kiedy wrócił do laboratorium, Kamil rozmawiał z Patrykiem. Patryk marszczył czoło, z konsternacją poruszał wargami i patrzył na Kamila żałośnie i zarazem przy pochlebnie. Kamil cierpliwie i nudno tłumaczył:

- Proszę spróbować uwzględnić wszystkie trzy czynniki. Wszystkie trzy jednocześnie. Tutaj nie potrzeba żadnej teorii, tylko nieco wyobraźni przestrzennej. Czynniki zerowy w podprzestrzeni i w obu współrzędnych czasowych. Za trudne?

Patryk powoli pokręcił głową. Budził litość. Kamil odczekał chwilę, po czym wzruszył ramionami i wyłączył wideofon. Robert, rozcierając ciało grubym ręcznikiem, powiedział zdecydowanie:

- Dlaczego jesteś taki nieuprzejmy. To obraźliwe.

Kamil znowu wzruszył ramionami. Wyglądało to, jakby jego głowa przyduszona kaskiem dawała nurka gdzieś w głąb piersi i znowu wynurzała się na wierzch.

- obraźliwe? No i co z tego?

Nie warto było odpowiadać. Robert czuł instynktownie, że dyskusja z Kamilem na tematy moralne nie ma sensu. Kamil po prostu nie zrozumie o czym mowa.

Powiesił ręcznik i zaczął przygotowywać śniadanie. Zjedli w milczeniu. Kamil zadowolony się kawałkiem chleba z dżemem i szklanką mleka. Zawsze bardzo mało jadł. Potem powiedział:

- Robi, nie wiesz przypadkiem, czy odesłano "Strzałę"?

- Przedwczoraj - odparł Robert.

- Przedwczoraj... To źle.

- A na co ci potrzebna "Strzała"? Kamil odpowiedział obojętnie:

- Mnie "Strzała" nie jest potrzebna.

## Rozdział 2

Na peryferiach Stolicy Gorbowski poprosił, aby się zatrzymać. Wysiadł z samochodu i powiedział:

- Strasznie mi się chce przejść.

- Chodźmy - rzekł Mark Walkenstein i również wysiadł.

Na prostej, błyszczącej szosie było pusto, dookoła żółcił się i zielenił step, a przed sobą mieli soczystą gęstwinę ziemskiej roślinności, przez którą prześwitywały różnobarwnymi plamami ściany miejskich budynków.

- Za duży upał - zaprotestował Percy Dickson. - Obciążenie dla serca.

Gorbowski zerwał z pobocza i podniósł do twarzy kwiatek.

- Przepadam za upałem - powiedział. - Chodź z nami, Percy. Całkiem spuchłeś.

Percy zatrzasnął drzwiczki.

- Jak chcecie. Mówiąc uczciwie, okropnie zmęczyłem się wami obydwoma przez ostatnie dwadzieścia lat. Jestem starym człowiekiem i chciałbym nieco odpocząć od waszych paradoksów. I bądźcie łaskawi nie podchodzić do mnie na plaży.

- Percy - powiedział Gorbowski - jedź lepiej do Dziecięcej Wioski. Co prawda nie mam pojęcia, gdzie to jest, ale tam są z pewnością dzieciaki, pełno naiwnego śmiechu, prostota obyczajów... "Wujku!" krzykną zaraz. "Pobawmy się w mamuta!"

- Tylko pilnuj brody - dodał Mark szczerząc zęby w uśmiechu. - Bo uwieszą się na niej.

Percy mruknął coś pod nosem i zmył się.

Mark i Gorbowski przeszli na ścieżkę i bez pośpiechu ruszyli wzdłuż szosy.

- Starzeje się brodacze - zauważył Mark. - Już ma nas dosyć.

- Ależ skąd - obruszył się Gorbowski. Wyciągnął z kieszeni odtwarzacz. - Wcale nie ma nas dosyć.

Po prostu zmęczył się. No i jest rozczarowany. To nie bagatela - człowiek stracił przez nas dwadzieścia lat: pragnął się dowiedzieć, jak wpływa na nas kosmos. A tymczasem on na nas jakoś nie wpływa... Ja chcę Afryki. Gdzie jest moja Afryka? Dlaczego moje nagrania są zawsze pomieszane?

Wędrował ścieżką w ślad za Markiem, z kwiatkiem w zębach, nastrajając odtwarzacz i potykając się co chwila. Potem znalazł Afrykę i żółto-zielony step rozbrzmiał dźwiękami tam-tamu.

Mark obejrzał się przez ramię.

- Wypluń to świństwo - rzekł z obrzydzeniem.

- Dlaczego świństwo? Kwiatek.

Tam-tam grzmiał.

- Przycisz chociaż - poprosił Mark.

Gorbowski nieco ściszył.

- Jeszcze trochę.

Gorbowski udał, że ścisza.

- Dobrze? - spytał.

- Nie rozumiem, dlaczego do tej pory go nie zepsułem - powiedział Mark w przestrzeń. Gorbowski

pospiesznie ściszył do minimum i włożył odtwarzacz do kieszonki na piersi.

Mijali wesołe, różnokolorowe domki obsadzone bzem, z jednakowymi, ażurowymi stożkami odbiorników energii na dachach. Przez ścieżkę przeszedł skradając się rudy kot. "Kici-kici!" radośnie zawołał Gorbowski. Kot rzucił się biegiem w gęstą trawę i stamtąd błysnął na nich dzikimi oczami. W upalnym powietrzu leniwie buczały pszczoły. Skądś dobiegało głębokie, ryczące chrapanie.

- Ale wiocha! - powiedział Mark. - To ma być stolica? Śpią do dziewiątej...

- Marku, czemu ty tak? - zaprotestował Gorbowski. - Ja na przykład stwierdzam, że jest tu bardzo miło. Pszczółki... Kocina se przebiegła... Cóż więcej trza? Chcesz, zrobię głośniejsze?

- Nie chcę - burknął Mark. - Nie znoszę takich ospałych osiedli. W ospałych osiedlach mieszkają ospali ludzie.

- Znam cię, znam - powiedział Gorbowski. - Tobie w głowie tylko walka i żeby nikt się z nikim nigdy nie zgadzał, żeby błyszczały nowe pomysły, nawet bójka by nie zawadziła, ale to już ideał... Stać! Stać! Tutaj jest coś w rodzaju pokrzywy. Śliczna i parzy jak diabli...

Przysiadł przed bujnym krzakiem z olbrzymimi liśćmi w czarne paski. Mark powiedział ze złością:

- Cóż się tak rozsiadłeś, Leonidzie Andriejewiczu? Pokrzywy nie widziałeś?

- Nigdy w życiu nie widziałem. Ale znam z książek. I wiesz co, Marku, może by cię tak zwolnić z mojego statku... Zepsułeś się, rozpuściłeś. Oduczyłeś się cieszyć prostym życiem.

- Nie wiem, co to proste życie - powiedział Mark - ale wszystkie te kwiatuszki-pokrzywki, wszystkie ścieżeczki-dróżeczki i różne tam steczki - to, moim zdaniem, Leonidzie Andriejewiczu, tylko demoralizuje. Na świecie jest jeszcze zbyt dużo nieporządków, żeby na widok takiej bukoliki wydawać okrzyki zachwytu.

- Nieporządki, owszem, są - zgodził się Gorbowski. - Ale przecież zawsze były i zawsze będą. Co to za życie bez nieporządku? A ogóle jest świetnie. O, słyszysz? Ktoś sobie śpiewa. Nie bacząc na żadne nieporządki.

Na szosie ukazał się jadący im naprzeciw gigantyczny ciężarowy atomowóz. W skrzyni siedzieli na pudłach potężni, półnaczy młodzieńcy. Jeden z nich jak oszalały uderzał w struny bandzo i wszyscy zgodnie ryczeli:

*Gdy wiosną drożdź swym trelem znów*

*Obwieszcza ptasi zjazd,*

*Brodzimy w sieci cudnych snów*

*Od rana aż do gwiazd...*

Atomowóz przemknął obok nich i fala gorącego powietrza na moment przygięła trawę. Gorbowski powiedział:

- To ci się powinno podobać, Marku. O dziewiątej ludzie są już na nogach i pracują. A piosenka ci się spodobała?

- To także nie to - upierał się Mark.

Ścieżka skręciła w bok, omijając olbrzymi wybetonowany basen z ciemną wodą. Poszli przez zarośla wysokiej po piersi żółtawej trawy. Zrobiło się nieco chłodniej - pogrążyli się w cieniu ogromnych

czarnych akacji.

- Marku - szepnął nagle Gorbowski. - Dziewczyna idzie!

Mark stanął jak wryty. Z trawy wynurzyła się wysoka pulchna brunetka w białych szortach i króciutkiej białej kurteczce z poobrywanymi guzikami. Brunetka z widocznym wysiłkiem ciągnęła za sobą ciężki kabel.

- Dzień dobry! - powiedzieli chórem Gorbowski i Mark. Brunetka drgnęła i zatrzymała się. Na jej twarzy odmalował się przestach. Gorbowski i Mark spojrzeli po sobie.

- Dzień dobry, panienko! - huknął Mark.

Brunetka wypuściła kabel z rąk i zachmurzyła się.

- Dzień dobry - wyszeptała.

- Marku, mam dziwne wrażenie - powiedział Gorbowski - żeśmy w czymś przeszkodzili.

- Może pani pomóc? - zapytał szarmancko Mark.

Dziewczyna patrzyła na niego spode łba.

- Żmije - powiedziała nagle.

- Gdzie? - wrzasnął ze strachem Gorbowski i podniósł do góry jedną nogę.

- Tak w ogóle - wyjaśniła dziewczyna. Obejrzała uważnie Gorbowskiego. - Widział pan dzisiaj wschód słońca? - poinformowała się przymilnie.

- Dzisiaj widzieliśmy cztery wschody - rzucił niedbale Mark.

Dziewczyna zmrużyła oczy i dokładnie obliczonym ruchem poprawiła włosy. Mark natychmiast przedstawił się:

- Walkenstein. Mark.

- D-astronauta - dodał Gorbowski.

- Ach, D-astronauta - rzekła dziewczyna z dziwną intonacją. Podniosła kabel, mrugnęła do Marka i skryła się w trawie. Kabel zaszeleścił po ścieżce. Gorbowski popatrzył na Marka. Mark patrzył za dziewczyną.

- No idźże, Marku - powiedział Gorbowski. - To będzie w pełni logiczne. Kabel jest diabelnie ciężki, dziewczyna słaba i piękna, a z ciebie kawał astronauty.

Mark w zadumie nadepnął na kabel. Kabel szarpnął i z trawy rozległ się głos:

- Popuszczaj, Siemionie, popuszczaj!...

Mark pospiesznie cofnął nogę. Po chwili ruszyli dalej.

- Dziwna dziewczyna - powiedział Gorbowski. - Ale sympatyczna! A propos, Marku, dlaczego się nie ożeniłeś?

- Z kim? - spytał Mark.

- Coś ty! Przecież wszyscy wiedzą. Wspaniała i miła kobieta. Nadzwyczaj subtelna i delikatna. Zawsze uważałem, że jesteś dla niej zbyt nieokrzesany. Ale ona, zdaje się, była innego zdania...

- Po prostu nie ożeniłem się - odpowiedział Mark niechętnie. - Nie wyszło.

Ścieżka znowu wyprowadziła ich na szosę. Teraz po lewej stronie bieleły się jakieś długie cysterny, a przed nimi lśniła w słońcu srebrzysta iglica nad budynkiem Rady. Wokół jak przedtem było pusto.

- Za bardzo kochała muzykę - kontynuował Mark. - A przecież niepodobna w każdy rejs brać ze



sobą choriolę. Wystarczy twój magnetofon. Percy nie znosi muzyki.

- W każdy rejs - powtórzył Gorbowski. - Problem w tym, Marku, że jesteśmy zbyt starzy.

Dwadzieścia lat temu nie przyszłoby nam do głowy oceniać, co jest więcej warte - miłość czy przyjaźń. A teraz już za późno. Teraz nasz los jest już przesądzony. Zresztą nie trzeba tracić nadziei, Marku. Może jeszcze spotkamy kobiety, które staną się dla nas droższe ponad wszystko.

- Tylko nie Percy - powiedział Mark. - On nawet z nikim prócz nas się nie przyjaźni. A zakochany Percy...

Gorbowski wyobraził sobie zakochanego Percy Dicksona.

- Percy byłby wspaniałym ojcem - zaryzykował.

Mark skrzywił się.

- To byłoby nieuczciwe. A dziecku nie jest potrzebny dobry ojciec. Ono potrzebuje dobrego nauczyciela. A człowiek - wypróbowanego przyjaciela. A kobieta - ukochanego człowieka. I w ogóle pomówmy lepiej o ścieżkach-drożynkach.

Plac przed budynkiem Rady był pusty, jedynie przed wejściem stał wielki, toporny autobus.

- Mam ochotę zobaczyć się z Matwiejem - powiedział Gorbowski. - Chodź ze mną, Marku.

- Kto to jest Matwiej?

- Zapoznam was ze sobą. Matwiej Wiazanicyn. Matwiej Siergiejewicz. Jest tutejszym dyrektorem.

Mój stary przyjaciel, astronauta. Jeszcze z desantowców. Ale powinieneś go pamiętać, Marku. Chociaż nie, to było wcześniej...

- No cóż - powiedział Mark. - Chodźmy. Wizyta kurtuazyjna. Tylko wyłącz swoje brząkadefko.

Mimo wszystko, przed Radą nie wypada.

Dyrektor bardzo się ucieszył z ich wizyty.

- Świetnie - basował sadowiąc ich w fotelach. - To świetnie, żeście przylecieli! Zuch z ciebie, Leonidzie! Ach, co za chwyt z ciebie! Walkenstein? Mark? A jakże, jakże!... Ale dlaczego pan nie jest łysy? Leonid wyrażnie mi mówił, że pan jest łysy... Ach tak, to o Dicksonie! Co prawda, Dickson słynie z brody, ale to nic nie znaczy - znam mnóstwo łysych brodaczy! Zresztą - nieważne! Ależ u nas upał, zauważyliście? Leonidzie, kiepsko się odżywasz, masz twarz cierpiącego na dystrofię! Obiad zjemy razem... A na razie pozwólcie, że zaproponuję napoje. Sok pomarańczowy, sok pomidorowy, sok z granatów... Nasze własne! Tak! Wino! Własne wino na Tęczy, wyobrażasz sobie, Leonidzie? No, jak? Dziwne, mnie smakuje... Marku, a pan? No, nigdy bym nie pomyślał, że pan nie pija wina! Aha, pan nie pija miejscowych win? Leonidzie, mam do ciebie tysiąc pytań... Nie wiem, od czego zacząć, a za minutę nie będę już człowiekiem, tylko rozjuszonym administratorem. Nigdy nie widzieliście rozjuszonego administratora? Zaraz zobaczycie. Będę osądzał, karał, rozdelał dobra! Będę dzielił i rządził. Teraz wiem, jak źle żyło się królom i wszelkim imperatorom-dyktatorom! Słuchajcie, przyjaciele, tylko proszę, nie odchodźcie! Będę spalać się w pracy, a wy siedzicie i współczujecie. Tu nikt mi nie współczuje... Przecież wam tu dobrze, prawda? Okno otworzę, żeby wietrzyk... Leonidzie, nie jesteś w stanie sobie wyobrazić... Marku, może pan śmiało odsunąć się w cień. Rozumiesz, Leonidzie, co się tu dzieje? Tęcza oszalała i ciągnie się to już drugi rok.

Runął w pojękujący fotel przed pulpitem dyspozytorskim - ogromny, opalony na czarno, kudłaty, ze sterczącymi jak u kota wąsami - rozpiął do samego brzucha koszulę i z przyjemnością popatrzył przez ramię

na astronautów ssących gorliwie przez słomki lodowate soki. Jego wąsy drgnęły i już otworzył usta, ale w tym momencie na jednym z sześciu ekranów pojawiła się milutka, szczuplutka kobieta z obrazą w oczach.

- Panie dyrektorze - powiedziała bardzo poważnie. - Nazywam się Haggerton, pan mnie zapewne nie pamięta. Ja w sprawie bariery promienistej na Alabastrowej Górze. Fizycy nie zgadzają się na zdjęcie bariery.

- Jak to nie zgadzają się?

- Rozmawiałam z Rodriguezem - on, zdaje się, jest tam głównym zerowcem. Oświadczył, że pan nie ma prawa wtrącać się do ich pracy.

- Ależ, Ellen, oni tylko próbują zamydlić pani oczy! - wybuchnął Matwiej. - Z Rodrigueza główny zerowiec jak ze mnie baletnica. To automatyk i na fizyce zerowej zna się mniej od pani. Natychmiast się nim zajmę.

- Bardzo proszę, będziemy bardzo zobowiązani...

Dyrektor, kręcąc głową, szczerknął przełącznikami.

- Alabastrowa! - ryknął. - Dajcie Pagawę!

- Słucham, Matwieju.

- Szota? Witaj, mój drogi! Dlaczego nie zdejmujesz bariery?

- Bariere zdjęłem. Dlaczego sądzisz, że nie zdejmuję?

- Aha! W porządku. Przekaż Rodriguezowi, żeby przestał mydlić ludziom oczy, bo inaczej wezwę go do siebie. Powiedz, że go dobrze pamiętam. Jak wasza Fala?

- Widzisz... - Szota zamilkł na moment. - Jest interesująca. Długo by opowiadać, później ci wyjaśnię.

- No to życzę powodzenia! - Matwiej, przechyliwszy się przez poręcz fotela, zwrócił się do astronautów.

- A propos, Leonidzie! - krzyknął. - Otóż a propos! Co mówi się u was o Fali?

- Gdzie u nas? - spytał Gorbowski z zimną krwią i pociągnął napój przez słomkę. - Na "Tarielu"?

- No, co ty sam myślisz o Fali?

Gorbowski zastanowił się przez chwilę.

- Nic nie myślę - odpowiedział. - Może Mark? - Niepewnie popatrzył na nawigatora.

Mark siedział sztywno i oficjalnie, trzymając w ręku szklaneczkę.

- O ile się nie mylę - zaczął - Fala jest jakimś procesem związanym z transportem zerowym. Wiem o tym niewiele. Oczywiście, transport zerowy interesuje mnie jak i każdego astronautę - tu z lekka pokłonił się dyrektorowi - ale na Ziemi fizyce zerowej nie poświęca się specjalnej uwagi. Według mnie dla ziemskich fizyków-dyskretników to tylko szczególny przypadek teorii, przypadek mający znaczenie głównie użytkowe.

Dyrektor zaśmiał się zgryźliwie.

- Jak ci się to podoba, Leonidzie? - powiedział. - Szczególny przypadek! Tak, widać, że Tęcza jest za daleko i wszystko, co się u nas dzieje, wydaje się wam zbyt nieistotne. Miły przyjacielu, właśnie ten szczególny przypadek po brzegi wypełnia moje życie, a przecież nawet nie jestem zerowcem! Zupełnie już opadam z sił, moi drodzy! Przedwczoraj w tym gabinecie własnoręcznie rozdzielałem Lamondoisa i Arystotelesa i teraz patrzę na moje ręce - wyciągnął przed siebie krzepkie, opalone dłonie - i, słowo honoru,

dziwię się, że nie ma na nich ukąszeń i zadrapań. A pod oknami ryczały dwa tłumy i jeden huczał: "Fala! Fala!", a drugi wył: "T-zero!" I myślicie, że była to dyskusja naukowa? Nic podobnego! To była średniowieczna domowa kłótnia z powodu energii elektrycznej! Pamiętacie może tę śmieszna, choć przyznam, nie w pełni zrozumiałą książkę, w której człowieka obito za to, że nie gasił światła w ubikacji? "Złoty kozioł" czy "Złoty osioł"?... Otóż Arystoteles i jego banda usiłovali obić Lamondoisa i jego bandę za to, że zagarnęli w swoje łapy całą rezerwę energii... O, Tęczu moja! Jeszcze rok temu Arystoteles i Lamondois skoczyliby jeden za drugim w ogień! Zerowiec zerowcowi był przyjacielem, towarzyszem i bratem i nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że zafascynowanie Forstera. Falą rozłupie planetę na pół! Na jakim ja świecie żyję? Niczego nie starcza: energii nie starcza, aparatury nie starcza, o każdego żółtodzioba-laboranta toczy się boje! Ludzie Lamondois kradną energię, ludzie Arystotelesa łapią outsiderów i usiłują ich werbować - nieszczęsnych turystów, którzy przylecieli tu na wczasy albo żeby napisać o Tęczy coś dobrego! Rada - Rada!!! - przekształciła się w organ rozjemczy! Poprosiłem o przysłanie Prawa rzymskiego... Ostatnio czytuję wyłącznie powieści historyczne. Tęczu ty moja! Wkrótce będzie potrzebna policja i sąd przysięgłych. Przyzwyczajam się do nowej i dziwacznej terminologii. Przedwczoraj nazwałem Lamondoisa pozwanym, a Arystotelesa powodem. Bez zająknięcia wymawiam takie słowa jak jurysprudencja i jurysdykcja!...

Włączył się jeden z ekranów. Pojawiły się na nim dwie pyzate, może dziesięcioletnie dziewczynki. Jedna w różowej sukieneczce, druga w niebieskiej.

- No, mów! - powiedziała różowa półszepem.

- Czemu ja, skoro umówiliśmy się, że ty...

- A właśnie że ty!

- Jesteś wstrętna!... Dzień dobry, Matwieju Siemionowiczu.

- Siergiejewiczu!...

- Matwieju Siergiejewiczu, dzień dobry!

- Dzień dobry, dzieci! - powiedział dyrektor. W jego twarzy można było wyczytać z łatwością, że o czymś zapomniał i teraz mu przypominano. - Dzień dobry, kurczątko! Jak się macie, myszki!

Obie, różowa i niebieska, zaczerwieniły się.

- Matwieju Siergiejewiczu, zapraszamy pana do Dziecięcej Wioski na nasze letnie święto.

- Dzisiaj, o dwunastej!...

- O jedenastej!...

- Nie, o dwunastej!...

- Przyjadę! - krzyknął dyrektor z entuzjazmem. - Na pewno przyjadę! I o jedenastej będę, i o dwunastej!...

Gorbowski dopił napój do końca, nalał sobie jeszcze, potem położył się w fotelu wyciągając nogi na środek pokoju, a szklaneczkę postawił sobie na piersi. Było mu dobrze i przytulnie.

- I ja też pojedę do Dziecięcej Wioski - oświadczył. - Nie mam nic do roboty. A tam może wygłoszę jakieś przemówienie. Nigdy w życiu nie wygłaszałem przemówień i strasznie chcę spróbować.

- Dziecięca Wioska! - Dyrektor znowu przechylił się przez poręcz fotela. - Dziecięca Wioska to jedyne miejsce, gdzie u nas przestrzega się porządku. Dzieci są cudownymi ludźmi. Doskonale rozumieją,

co to znaczy “nie wolno”... O naszych zerowcach nie da się tego powiedzieć, o nie! W ubiegłym roku pożarli dwa miliony megawatogodzin! W tym już piętnaście, a złożyli zamówienia jeszcze na sześćdziesiąt. Całe nieszczęście polega na tym, że absolutnie nie chcą przyjąć do wiadomości, że czegoś “nie wolno”.

- My także nie znaleźliśmy tego słowa - wtrącił Mark.

- Miły przyjacielu, żyliśmy obaj w dobrych czasach. To były czasy kryzysu fizyki. Nie potrzebowaliśmy więcej, niż nam dawano. No bo po co? Cóż żeśmy wtedy mieli? D-procesy, strukturę elektronową... Przestrzeniami sprzężonymi zajmowały się jednostki, a i to tylko na papierze. A teraz? Teraz nastąpiła ta zwariowana epoka fizyki dyskretnej, z jej teorią przenikania i z jej podprzestrzemią!... Tęczo ty moja! Wszystkie te problemy fizyki zerowej! Gołowasemu chłopczkowi, cienkonogiemu laborantowi do byle eksperymentu potrzeba tysięcy megawatów, najbardziej unikalnych urządzeń, których nie da się wytworzyć na Tęczycy i które, nawiasem mówiąc, po eksperymencie do niczego się nie nadają. Przywieźliście setkę ulmotronów. Dzięki wam za to. Ale nam potrzeba co najmniej sześciu setek! I energia... energia! Skąd ją wziąć? Przecież nie przywieźliście nam energii! Mało tego, sami jej potrzebujecie. Zwracam się z Kaneko do Maszyny: “Wskaż nam optymalną strategię!” A ona, biedaczka, tylko ręce rozkłada...

Drzwi otworzyły się szeroko i do gabinetu wszedł szybkim krokiem niewysoki, bardzo elegancki i ładnie ubrany mężczyzna. W gładko przyczesanych, czarnych włosach sterczały mu jakieś rzepy, a nieruchoma twarz wyrażała zimną, hamowaną wściekłość.

- O wilku mowa... - zaczął dyrektor wyciągając doń rękę.

- Proszę o dymisję - dźwięcznym, metalicznym głosem przemówił przybyły. - Sądzę, że nie jestem zdolny do dalszej pracy z ludźmi i dlatego proszę o dymisję. Przepraszam. - Szybko uklonił się astronautom. - Kaneko, planista-energetyk Tęczycy. Były planista-energetyk.

Gorbowski pospiesznie zaszurał nogami po śliskiej podłodze, próbując jednocześnie podnieść się i uklonić. Szklaneczkę z sokiem podniósł przy tym nad głowę upodabniając się do pijanego gościa w triclinium u Lukullusa.

- Tęczo ty moja! - krzyknął dyrektor z zakłopotaniem. - Co się jeszcze zdarzyło?

- Pół godziny temu Symeon Gałkin i Aleksandra Postyszewa podłączyli się potajemnie do strefowej podstacji i pobrali całą energię na dwie doby naprzód. - Po twarzy Kaneko przebiegł skurcz. - Maszyna była przeznaczona dla uczciwych ludzi. Nie znam podprogramu uwzględniającego istnienie Gałkina i Postyszewej. Fakt niedopuszczalny, chociaż, niestety, nie jest dla nas czymś nowym. Zapewne poradziłbym sobie z nimi. Ale nie jestem dżudoką ani akrobatą. I nie pracuję w przedszkolu. Nie mogę dopuścić, żeby zastawiano na mnie pułapki... Zamaskowali podłączenie w gęstych zaroślach za wąwozem, a w poprzek ścieżki przeciągnęli drut. Doskonale wiedzieli, że pobiegnę, aby powstrzymać olbrzymi upływ prądu... - Nagle zamilkł i zaczął nerwowo wyciągać rzepy z włosów.

- Gdzie jest Postyszewa? - spytał dyrektor bliski apopleksji. Gorbowski usiadł prosto i lekko podkulił nogi. Na twarzy Marka malowało się żywe zainteresowanie wydarzeniami.

- Postyszewa zaraz tu będzie - odrzekł Kaneko. - Ja także jestem pewien, że to ona była inicjatorką całego skandalu. Wezwałem ją w pańskim imieniu.

Matwiej przysunął do siebie mikrofon informacji ogólnej i przemówił niezbyt głośnym basem:

- Uwaga, Tęcza! Mówi dyrektor. Incydent z ubytkiem energii jest mi znany.

Wstał, podkradł się bokiem do Kaneko, położył mu rękę na ramieniu i powiedział przeprasząco:

- Cóż robić, przyjacielu... Przecież mówiłem: nasza Tęcza zwariowała. Wytrzymaj, przyjacielu! Ja też wytrzymuję. A Postyszewej zaraz zmyję głowę. Zrzednie jej mina, sam zobaczysz...

- Rozumiem - powiedział Kaneko. - Proszę wybaczyć; byłem wściekły. Jeśli pozwolisz, pojedę na kosmodrom. Najpaskudniejsza dzisiaj sprawa to wydawanie ulmotronów. Przyleciał statek desantowy z ładunkiem ulmotronów.

- Wiem, wiem - powiedział dyrektor współczująco. - Jakże mógłbym nie wiedzieć. Oto właśnie - wycelował swój kwadratowy podbródek prosto w astronautów - z satysfakcją przedstawiam: moi przyjaciele. Dowódca "Tariela", Leonid Andriejewicz Gorbowski, i jego nawigator Mark Walkenstein.

- Miło mi - powiedział Kaneko chyląc głowę pełną rzepów.

Mark i Gorbowski także skłonili lekko głowy.

- Postaram się ograniczyć uszkodzenia statku do minimum - powiedział Kaneko bez uśmiechu, odwrócił się plecami i poszedł ku drzwiom.

Gorbowski z niepokojem popatrzył za nim.

Drzwi przed Kaneko otworzyły się. Uprzejmie usunął się w bok, ustępując komuś z drogi. W drzwiach stała ich nowa znajoma - brunetka w białej kurteczce z poobrywanymi guzikami. Gorbowski zauważył, że szorty miała przepalone z boku, a lewą rękę - wymazaną sadzami. Przy niej elegancki i zadbany Kaneko wydawał się przybyszem z dalekiej przyszłości.

- Proszę wybaczyć - powiedziała brunetka aksamitnym głosem. - Czy mogę wejść? Pan mnie wzywał, Matwieju Siergiejewiczu?

Kaneko obszedł ją szerokim łukiem odwracając głowę i skrył się za drzwiami. Matwiej wrócił do fotela, usiadł i wparł się rękami w poręcz. Twarz znowu mu posiniała.

- I cóż ty myślisz, Postyszewa - zaczął ledwie dosłyszalnie - że ja nie wiem, czyje to sprawki?...

Na ekranie pojawił się różowolicy młodzieniec w kokieteryjnie zsuniętym na bok berecie.

- Przepraszam, Matwieju Siergiejewiczu - powiedział uśmiechając się wesoło. - Chciałem tylko przypomnieć, że dwa komplety ulmotronów są nasze.

- Według kolejki, Karl - burknął Matwiej.

- W kolejce jesteśmy pierwsi - zakomunikował młodzian.

- To znaczy, że dostaniecie pierwsi. - Matwiej przez cały czas patrzył na Postyszewa zachowując srogą i nieprzystępną minę.

- Przepraszam jeszcze raz, Matwieju Siergiejewiczu, ale bardzo nas niepokoi zachowanie grupy Forstera. Widziałem, że wysłali już na kosmodrom ciężarówkę...

- Proszę się nie martwić, Karl - odrzekł Matwiej. Nie wytrzymał i cały rozpląnął się w uśmiechu. - No, naciesz swe oczy, Leonidzie. Przyszedł i skarży się! Kto? Hoffman! Na kogo? Na swego nauczyciela - Forstera! Wynoś się stąd, Karl! Nikt nie dostanie poza kolejnością.

- Dziękuję, Matwieju Siergiejewiczu - odpowiedział Hoffman. - Ja i Malajew bardzo na pana liczymy.

- On i Malajew! - parsknął gniewnie dyrektor wznosząc oczy do sufitu.

Ekran zgasł i po chwili zapalił się na nowo. Starszy, posępny mężczyzna w ciemnych okularach z

jakimiś dodatkowymi urządzeniami na oprawie zahuczał z niezadowoleniem w głosie:

- Matwieju, chciałbym coś uściślić w związku z ulmotronami...

- Ulmotrony według kolejki - uciał Matwiej.

Brunetka westchnęła melancholijnie, przenikliwie popatrzyła na Marka i z pokorną miną przysiadła na brzeżku fotela.

- Nam się należy poza kolejką - powiedział człowiek w okularach.

- A więc otrzymacie poza kolejką - zgodził się Matwiej. - Istnieje kolejka pozakolejkowców i jesteście w niej ósmy.

Brunetka, pochylając się z gracją, zaczęła oglądać dziurę, następnie, pośliniwszy palec, starła z łokcia sadzę.

- Chwileczkę, Postyszewa - powiedział Matwiej i pochylił się do mikrofonu. - Uwaga, Tęcza! Mówi dyrektor. Rozdział ulmotronów dostarczonych przez gwiazdolot "Tariel" nastąpi według list zatwierdzonych przez Radę i o żadnych wyjątkach nie może być mowy. Tak więc, Postyszewa... Wezwałem cię po to, abyś powiedziała, żeś mi obrzydła. Byłem łagodny... Tak, byłem cierpliwy. Znosiłem wszystko. Nie możesz mi zarzucić okrucieństwa. Ale na Tęczę! Wszystko ma swoje granice! Jednym słowem, przekaz Gałkinowi, że odsunąłem cię od pracy i najbliższym gwiazdolotem odsyłam na Ziemię.

Olbrzymie, piękne oczy Postyszewej momentalnie napęłniły się łzami. Mark z żalem pokręcił głową, Gorbowski zasępił się. Dyrektor patrzył na Postyszewa z wysuniętą do przodu szczęką.

- Teraz za późno na płacz, Aleksandro - powiedział. - Płakać trzeba było wcześniej. Razem z nami.

Do gabinetu weszła przystojna kobieta w plisowanej spódnicy i lekkiej bluzeczce. Była ostrzyżona na chłopaka, ruda grzywka spadała jej na oczy.

- Hello! - zawołała uśmiechając się przyjaźnie. - Matwieju, nie przeszkodziłam? O! - zauważyła Postyszewa. - Cóż to? Płacemy? - Objęła Postyszewa za ramiona i przycisnęła jej głowę do piersi. - Matwieju, to przez ciebie? Jak ci nie wstyd? Pewnie byłeś nieuprzejmy. Czasami bywasz nieznośny!

Dyrektor poruszył węsami.

- Cześć, Giną - powiedział. - Puść Postyszewa, została ukarana. Ciężko obraziła Kaneko i ukradła energię...

- Co za bzdura! - wybuchnęła Giną. - Uspokój się, dziewczyno! Co to w ogóle za słowa: "ukradła", "obraziła", "energia"! Komu ukradła energię? Przecież nie okradła Wioski? Nie wszystko jedno, kto z fizyków zużywa energię, Ala Postyszewa czy ten okropny Lamondois?!

Dyrektor wstał majestatycznie.

- Leonidzie, Marku - powiedział. - Oto Giną Peakbridge, główny biolog Tęczy. Gino, Leonid Gorbowski, Mark Walkenstein, astronauta.

Astronauta powstali.

- Hello! - powiedziała Giną. - Nie, nie chcę się z wami zapoznawać... Dlaczego obaj - zdrowi, przystojni mężczyźni - jesteście tacy nieczuli? Jak możecie siedzieć i patrzeć na płaczącą dziewczynę?

- Nie jesteśmy nieczuli! - zaprotestował Mark. - Gorbowski spojrzał na niego ze zdumieniem. - Akurat mieliśmy się wtrącić...

- Więc wtrąćcie się! Wtrąćcie! - rzekła Giną.

- No wiecie, koledzy! - zagrział dyrektor. - Wcale mi się to nie podoba! Postyszewa, jesteś wolna. No, proszę już odejść... O co chodzi, Gino? Zostaw Postyszewa i przedstaw swoją sprawę... No widzisz, całą bluzę ci zaryczała. Postyszewa, proszę odejść, powiedziałem!

Postyszewa wstała i wyszła zasłaniając twarz dłońmi. Mark spojrzał pytająco na Ginę.

- Tak, oczywiście - powiedziała.

Mark obciągnął kurtkę, spojrzał surowo na Matwieja, skłonił się Ginie i także wyszedł. Matwiej z rezygnacją machnął ręką.

- Zrzeknę się stanowiska - jęknął. - Żadnej dyscypliny. Czy zdajesz sobie sprawę, Gino, do czego prowadzi takie postępowanie?

- Owszem - odpowiedziała podchodząc do stołu. - Cała wasza fizyka i calusienka wasza energia nie są warte jednej łezki Alusi.

- Powiedz to Lamondois. Albo Pagawie. Albo Forsterowi. Albo, na przykład, Kaneko. A co do łez, to każdy ma swoją broń. I dosyć już na ten temat, jeśli łaska! Słucham.

- Tak, dosyć - powiedziała Gina. - Wiem, że jesteś równie uparty jak dobry. A z tego wynika, że jesteś nieskończenie uparty. Matwieju, potrzebni mi są ludzie. Nie-nie... - Poniosła do góry małą dłoń. - Chodzi o sprawę bardzo ryzykowną i interesującą. Wystarczy, żebym skinęła palcem i połowa fizyków ucieknie swoim straszliwym kierownikom.

- Na twoje skinienie - dodał Matwiej - uciekną również sami kierownicy...

- Dziękuję, ale mam na myśli polowanie na kalmary. Potrzeba mi dwudziestu osób do odpędzania kalmarów od Wybrzeża Puszkina.

Matwiej westchnął.

- W czym ci zawiniły kalmary? - powiedział. - Nie mam ludzi.

- Chociaż dziesięć osób. Kalmary systematycznie ogoławają farmy z ryb. Co robią teraz "oblatywacze"?

Matwiej ożywił się.

- A, rzeczywiście! - przypomniał sobie. - Gaba! Gdzież jest teraz Gaba? Aha, pamiętam... Wszystko w porządku, Gina, dostaniesz dziesięciu ludzi.

- Fajnie. Zawsze wiedziałam, że jesteś dobry. Idę na śniadanie, niech mnie szukają. Do widzenia, kochany Leonidzie. Jedź z nami, bardzo się ucieszymy.

- Uf!... - odetchnął Matwiej z ulgą, kiedy drzwi zamknęły się. - Urocza kobieta - ale pracować wolę mimo wszystko z Lamondois... Ale ten twój Mark!

Gorbowski uśmiechnął się z zadowoleniem i nalał sobie jeszcze soku. Rozkosznie wyciągnął się w fotelu i po cichym pytaniu: "Można?" włączył odtwarzacz. Dyrektor również opadł na oparcie fotela.

- Tak! - powiedział z rozmarzeniem. - A pamiętasz, Leonidzie, Ślepą Plamę? Stanisław Piszta krzyczy na cały eter... A propos! Czy wiesz...

- Matwieju Siergiejewiczu - rozległo się z głośnika. - Komunikat ze "Strzały".

- Czytaj - rzucił Matwiej pochylając się do przodu.

- "Wychodzę na derytrynitację. Następny seans łączności za czterdzieści godzin. Wszystko w porządku. Anton." Łączność jest kiepska, Matwieju Siergiejewiczu, burza magnetyczna...

- Dziękuję - odpowiedział Matwiej. Z zaskokiem zwrócił się do Gorbowskiego. - Nawiasem mówiąc, co wiesz, Leonidzie, o Kamilu?

- Że nigdy nie zdejmuje kasku - powiedział Gorbowski. - Pewnego razu zapytałem go o to wprost, kiedy się kąpaliśmy. I wprost mi odpowiedział.

- I co o nim myślisz?

Gorbowski zastanowił się chwilę.

- Uważam, że ma prawo.

Gorbowski nie podjął tematu. Przez pewien czas słuchał tam-tamu, następnie rzekł:

- Widzisz Matwieju, jakoś tak się złożyło, że uważa się mnie niemal za przyjaciela Kamila. I wszyscy pytają mnie, co i jak. A ja nie lubię poruszać tej sprawy. Jeśli masz jakieś konkretne pytania, to inna sprawa.

- Mam - powiedział Matwiej. - Czy Kamil nie jest wariatem?

- Nieee, coś ty! Jest po prostu zwykłym geniuszem.

- Widzisz. Ciągłe sobie myślę: czemu on tak wiecznie przepowiada i przepowiada? Chyba ma jakąś manię przepowiadania...

- A cóż on takiego przepowiada?

- Nic takiego, głupstwo - odparł Matwiej. - Koniec świata. Całe nieszczęście polega na tym, że nikt, absolutnie nikt tego biedaka nie może zrozumieć... Zresztą, nie mówmy o tym. O czym to myśmy rozmawiali?

Ekran znowu rozjarzył się. Pojawił się Kaneko. Krawat miał przekrzywiony na bok.

- Matwieju Siergiejewiczu - powiedział łapiąc oddech. - Proszę pozwolić mi uściślić listę. Powinna być tam kopia.

- Och, jak mi to wszystko obrzydło! - westchnął Matwiej. - Leonidzie, wybacz proszę. Będę musiał wyjść.

- Oczywiście, idź - rzekł Gorbowski. - A ja na razie przespaceruję się na kosmodrom. Jak tam mój "Tariel"...

- Przed drugą u mnie na obiedzie - powiedział Matwiej.

Gorbowski dopił szklanekę, podniósł się i z satysfakcją nastawił tam-tam na maksimum.



### Rozdział 3

Okolo dziesiątej upał stał się nie do zniesienia. Z rozpalonego stepu przez szczeliny zamkniętych okien przesączały się cierpkie opary lotnych soli. Nad stepem płaśały miraż. Robert postawił przy swoim fotelu dwa potężne wentylatory i pólleżał, wachlując się starym czasopismem. Pocieszał się myślą, że koło trzeciej będzie znacznie ciężiej, a potem tylko patrzeć i już wieczór. Kamil zastygł przy pomocnym oknie. Nie rozmawiali więcej.

Z rejestratora wypełzała nie kończąca się błękitna taśma pokryta zębatymi liniami automatycznego zapisu, licznik Younga powoli, niedostrzegalnie dla ludzkiego oka rozjarzał się intensywnym liliowym światłem, cieniutko piszczały ulmotrony - za ich zwierciadlanymi okienkami złowróźnie migotały odbłaski płomienia jądrowego. Fala potężniała. Gdzieś za północnym horyzontem, nad nieogarnionymi pustkowiami martwej ziemi były w stratosferę gigantyczne fontanny gorącego, trującego pyłu...

Zajazgotał sygnał wideofonu i Robert bezzwłocznie zaczął udawać, że pracuje. Myślał, że to Patryk albo - co byłoby straszne w taki skwar - Malajew. Tymczasem dzwoniła Tania, wesola i świeża, i na pierwszy rzut oka było widać, że tam u niej nie ma czterdziestostopniowego upału, nie ma cuchnących wyziewów martwego stepu, powietrze jest słodkie i orzeźwiającej, a z pobliskiego morza wiatr przynosi czyste zapachy gazonów odkrytych podczas odpływu.

- Jak ci tam beze mnie, mój Robiku? - spytała.

- Kiepsko - poskarżył się Robert. - Śmierdzi. Gorąco. Pocę się. Nie ma ciebie. Spać się chce nie do wytrzymania, a zasnąć nie można.

- Biedny chłopczyk! A ja zdrzemnęłam się wspaniale w helikopterze. Przede mną też trudny dzień. Letnie święto - ogólny rwetes, obłęd i koniec świata. Dzieciaki biegają jak oszalałe. Jesteś sam?

- Nie. Tam oto stoi Kamil, i nie widzi nas ani nie słyszy. Taniku, będę dziś na ciebie czekał. Tylko gdzie?

- A zmienia cię ktoś? Szkoda. Polećmy na południe!

- Doskonale. Pamiętasz kafejkę w Osiedlu Rybackim? Będziemy jeść minogi, pić młode wino... lodowate! - Robert jęknął i wznosił oczy w górę. Teraz będę oczekiwał wieczoru. Jakże będę go oczekiwał!

- Ja też... - Obejrzała się. - Całuję cię, Robi - powiedziała. - Zadzwoń.

- Bardzo będę czekał - zdążył powiedzieć Robert.

Kamil ciągle patrzył przez okno ze splecionymi na plecach rękami. Jego palce poruszały się bez przerwy. Miał nadzwyczaj długie, białe, giętkie palce z krótko obciętymi paznokciami. Palce dziwacznie spletały się i rozpletały, aż Robert przyłapał się, że usiłuje robić to samo z własnymi.

- Zaczęło się - powiedział nagle Kamil. - Radzę popatrzeć.

- Co się zaczęło? - zapytał Robert. Nie chciało mu się wstawać.

- Ruszył step - powiedział Kamil.

Robert wstał niechętnie i podszedł do niego. Z początku niczego nie zauważył. Potem wydawało mu się, że widzi miraż. Ale przyjrzawszy się, tak gwałtownie pochylał głowę do przodu, że aż stuknął czołem w szybę. Step poruszał się. Step szybko zmieniał barwę - straszna czerwona masa pęzła przez żółtą

przestrzeń. W dole pod wieżą można było dojrzeć, jak roją się wśród wyschniętych łodyg czerwone i rude kropki.

- O matko!... - jęknął Robert. - Czerwona ziarnojadka! Czemu tak stoisz?! - Rzucił się do wideofonu.

- Pastuchy! - krzyknął. - Dyżurny!

- Dyżurny słucha.

- Mówi posterunek Stepowy. Od północy nadciąga ziarnojadka. Cały step jest pokryty ziarnojadką.

- Co takiego? Proszę powtórzyć... Kto mówi?

- Mówi posterunek Stepowy, obserwator Sklarow! Czerwona ziarnojadka nadciąga z północy!

Gorzej niż dwa lata temu! Zrozumiał pan? Cały step roi się od ziarnojadki!

- Tak jest... Jasne... Dziękuję, Sklarow... A to pech! Mamy wszystko na południu... A to kłopot!...

No trudno...

- Dyżurny! - krzyknął Robert. - Niechże pan posłucha, musicie się połączyć z Alabastrową lub z Greenfield, tam jest pełno zerowców, pomogą!

- Zrozumiałem! Dziękuję, Sklarow. Kiedy ziarnojadka przestanie się przemieszczać, niech pan nas natychmiast zawiadomi.

Robert znowu podbiegł do okna. Ziarnojadka szła wałem, trawy nie było już widać.

- Nieszczęście! - biadolił Robert przyciskając twarz do szyby. - To rzeczywiście katastrofa!

- Nie ludź się, Robiku - powiedział Kamil. - To jeszcze żadne nieszczęście. To po prostu coś ciekawego.

- Jak wyżre nam zasiewy - rzucił gniewnie Robert - zostaniemy bez zboża, bez bydła.

- Nie zostaniemy, Robi. Nie zdąży.

- Mam nadzieję. Tylko na to liczę. Popatrz tylko, jak wali. Przecież cały step jest czerwony.

- Kataklizm - przyznał Kamil.

Niespodziewanie zapadł zmierzch. Olbrzymi cień ogarnął step. Robert obejrzał się i podbiegł do wschodniego okna. Szeroka, drżąca chmura zakryła słońce. I znowu Robert nie od razu zrozumiał, co się dzieje. Z początku po prostu dziwił się, gdyż za dnia na Tęczy nigdy nie bywało chmur. Lecz potem zobaczył, że to są ptaki. Tysiące tysięcy ptaków leciały z północy i nawet przez zamknięte okna słychać było ciągły, szeleszczący szum skrzydeł i przenikliwe, cienkie okrzyki. Robert cofnął się do stołu.

- Skąd się wzięły ptaki? - wykrztusił zdumiony.

- Wszystko się ratuje - odparł Kamil. - Wszystko ucieka. Na twoim miejscu, Robi, zrobiłbym to samo. Nadciąga Fala.

- Jaka Fala? - Robert nachylił się i popatrzył na przyrządy. - Przecież nie ma żadnej Fali, Kamilu.

- Nie ma? - powiedział Kamil spokojnie. - Tym lepiej. Zostańmy i popatrzmy.

- Nawet nie miałem zamiaru uciekać. Po prostu zadziwia mnie to wszystko. Chyba trzeba zameldować do Greenfield. I przede wszystkim, skąd się wzięły ptaki? Tam jest przecież pustynia.

- Tam jest bardzo dużo ptaków - powiedział spokojnie Kamil. - Są też olbrzymie, błękitne jeziora, trzciny... - umilkł.

Robert patrzył na niego z niedowierzaniem. Dziesięć lat pracował na Tęczy i zawsze był przekonany, że na północ od Gorącego Równoleżnika nie ma nic: ani wody, ani trawy, ani życia. Ach, wziąć

tak flyer i polecieć tam z Tanią, pomyślał przelotnie. Jeziora, trzciny...

Zaterkotał sygnał wezwania i Robert odwrócił się do ekranu. Był to sam Malajew.

- Sklarow - powiedział zwykłym, nieprzyjaznym tonem i Robert z przyzwyczajenia poczuł się winny, winny za wszystko, w tym również za ziarnojadkę i ptaki. - Sklarow, niech pan posłucha rozkazu. Proszę natychmiast ewakuować posterunek. I niech pan zabierze ulmotrony.

- Fiodorze Anatoliewiczu - powiedział Robert. - Ruszyła ziarnojadka, lecą ptaki. Właśnie chciałem zameldować...

- Proszę się nie rozpraszać. Powtarzam. Zabiera pan oba ulmotrony, siada do helikoptera i natychmiast rusza do Greenfield. Zrozumiano?

- Tak.

- Teraz... - Malajew popatrzył gdzieś w dół. - Teraz jest dziesiąta czterdzieści pięć. O jedenastej zero zero powinien pan być w powietrzu. Proszę wziąć pod uwagę, że wprowadzam do akcji charybdy, więc na wszelki wypadek niech pan się trzyma wyżej. Jeśli nie zdąży pan zdemontować ulmotronów, proszę je porzucić.

- A co się stało?

- Idzie Fala - powiedział Malajew i po raz pierwszy popatrzył Robertowi w oczy. - Przeszła już Gorący Równoleżnik. Proszę się pospieszyć.

Przez sekundę Robert stał jak wryty, zbierając myśli. Potem znowu obejrzał przyrządy. Na ich podstawie można było stwierdzić, że erupcja zmniejszyła się.

- No, to nie moja sprawa - powiedział Robert na cały głos. - Kamilu, pomożesz mi?

- Teraz już nikomu nie jestem w stanie pomóc - odezwał się Kamil. - Zresztą, nie moja sprawa. Co trzeba robić - taszczyć ulmotrony?

- Tak. Tylko najpierw trzeba je zdemontować.

- Czy zechcesz posłuchać dobrej rady? - powiedział Kamil. - Dobrej rady numer siedem tysięcy osiemset trzydzieści dwa?

Robert już wyłączył prąd i parząc palce odkręcał chwytaki.

- No, słucham tej pańskiej rady - odparł.

- Zostaw ulmotrony, siadaj do helikoptera i leć do Tani.

- Dobra rada - mruknął Robert pospiesznie zrywając połączenia. - Sympatyczna. Pomóż no mi go wyciągnąć...

Ulmotron ważył ze sto kilo - gruby, gładki walec długości półtora metra. Wyciągnęli go z gniazda i wtoczyli do kabiny windy. Zawył wicher, wieża poczęła wibrować.

- Wystarczy - powiedział Kamil. - Zjedźmy razem.

- Trzeba wziąć drugi.

- Robi, wam nawet ten jeden już nie będzie potrzebny. Posłuchaj mojej rady.

Robert popatrzył na zegarek.

- Mamy jeszcze czas - oznajmił rzeczowo. Zjedź i wytocz go na ziemię.

Kamil zamknął drzwi. Robert wrócił do urządzenia. Na zewnątrz panował czerwony półmrok.

Ptaków więcej nie było, ale niebo zasnuł mglisty całun, przez który ledwie przeświecał maleńki dysk słońca.

Wieża drżała i kołysała się w porywach wiatru.

- Żeby tylko zdążyć! - pomyślał na głos Robert.

Nateżając się wyciągnął drugi ulmotron, umieścił na ramieniu i zaniósł do windy. I wtedy za jego plecami z przeraźliwym chrzęstem wyleciały ramy okienne i do laboratorium wdarły się tumany kłującego kurzu niesione z rozpalonym wichrem. Coś mocno uderzyło go w nogi. Robert momentalnie przysiadł opierając ulmotron o ścianę i nacisnął guzik wezwania. Silnik dźwigu zawył na jałowym biegu i od razu zamilkł.

- Kami-i-i-lu! - krzyknął Robert przyciskając twarz do okratowanych drzwi.

Nikt się nie odezwał. Wiatr wył i świszczwał w rozbitych oknach, wieża huśtała się coraz bardziej i Robert ledwie trzymał się na nogach. Znowu przycisnął guzik. Winda nie działała. Wówczas, szamocząc się z wiatrem, doznał do okna i wyrzwał na zewnątrz. Step zasnuły kłęby wściekle mknącego kurzu. Coś błyszczącego migąło na dole u podnóża wieży i Robertowi krew zastygła w żyłach, gdy pojął, że to szarpie się i miota na wietrze wykręcone i pogięte skrzydło pterokaru. Robert zamknął oczy i obliznął zeschnięte wargi. Usta napełniły się zracą goryczą. Świetna pułapka, pomyślał. Patryk by tu...

- Kami-i-i-lu! - krzyknął z całej siły.

Ale sam ledwie słyszał własny głos. Przez: okno... nie da rady, porwie huragan. Czy w ogóle warto się szarpać? Pterokar rozbity... Tutaj mnie w końcu dosięgnie. Nie, zejść trzeba. Dlaczego Kamil się tak grzebie - ja na jego miejscu już bym naprawił windę... Racja, winda!

Stąpając przez odłamki drzewa i szkła, wrócił do okratowanych drzwi i wczepił się w nie oburącz. No, dalej, "Młodości Świata", pomyślał. Drzwi były zrobione solidnie. Gdyby kratownice wieży wykonano równie solidnie, winda za nic by nie nawaliła. Robert przywarł plecami do drzwi i zgiętymi nogami zaparł się o ścianę przedsionka. Dalejże... Rraz! Pociemniało mu w oczach. Coś zachrząściło: ni to drzwi, ni to mięśnie. Jeszcze rraz! Drzwi zaczęły ustępować. Zaraz wylecą, pomyślał Robert, a ja wpadnę do szybu. Dwadzieścia metrów głową w dół, a z góry na mnie polecą ulmotron. Zmienił pozycję, zapierając się plecami o ścianę, nogami zaś o drzwi. Trrach!... Wyleciała dolna połowa drzwi i Robert upadł na wznak, uderzając się w głowę. Przez kilka sekund leżał nieruchomo. Był cały mokry od potu. Później zajrzał do otworu. Daleko w dole widniał dach kabiny. Strasznie bał się schodzić, ale wieża zaczęła się przechylać i pociągnęła go ku dołowi. Nie opierał się, bo wieża przechylała się coraz bardziej i bardziej i trwało to bez końca.

Schodził, chwytając się kratownic i rozperek, a ciężki, kłujący od kurzu wiatr przyciskał go do ciepłego metalu. Zdążył zauważyć, że pyłu znacznie ubyło, a step znowu jest zalany słońcem. Wieża nadal pochylała się. Było mu tak spieszo dowiedzieć się, co z pterokarem i gdzie się podział Kamil, że wyskoczył z szybu, kiedy brakowało jakichś czterech metrów. Boleśnie uderzył w ziemię nogami, a potem rękami. I pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były palce Kamila, wbite w suchy grunt.

Kamil leżał pod przewróconym pterokarem, z szeroko otwartymi okrągłymi, szklanymi oczami, a jego długie, cienkie palce wbiły się w ziemię, jakby próbował wydostać się spod rozbitej maszyny, a może po prostu bardzo cierpiał przed śmiercią. Kurz pokrywał jego białą kurtkę, kurz leżał na policzkach i otwartych oczach.

- Kamilu - zawołał Robert.

Wiatr wściekle szarpał nad jego głową strzępem poharatanego skrzydła. Wiatr niósł strugi żółtego kurzu. Wiatr gwizdał i jęczał w kratownicach przechylonej wieży. Na przymglonym niebie okrutnie płonęło małe słońce. Sprawiało wrażenie kosmatego.

Robert wstał i napierając całym ciałem usiłował podnieść pterokar. Na sekundę udało mu się nieco unieść ciężką maszynę, ale tylko na sekundę. Znowu spojrzał na Kamila. Całą twarz miał zasypaną pyłem, biała kurtka zrudziała i tylko do absurdalnego białego kasku nie przywarła ani jedna drobinka kurzu. Matowy plastik wesoło połyskiwał w słońcu.

Robertowi zadrżały nogi, więc usiadł obok umarłego. Chciało mu się płakać. Żegnaj, Kamilu. Słowo honoru, kochałem cię. Nikt cię nie kochał, a ja kochałem. Racja, nigdy nie słuchałem cię - tak jak inni, ale, słowo honoru, nie słuchałem tylko dlatego, że nie miałem nadziei zrozumieć cokolwiek z twoich stów. Przewyższałeś wszystkich o głowę, a już mnie, to szkoda gadać. A teraz nie mogę zepchnąć z twojej zmiażdżonej piersi tej kupy złomu. Obowiązek przyjaźni nakazywałby pozostać przy tobie. Ale czeka na mnie Tania, może nawet Malajew, a poza tym strasznie chcę żyć. Tu nie pomogą żadne uczucia ani żadna logika. Wiem, że nie uda mi się uciec. Ale mimo wszystko pójdę. Będę biegł, brnął, może nawet będę się czołgał, lecz będę uciekać do końca... Jestem dureń, powinienem był posłuchać twojej siedmiotysięcznej rady, ale, jak zawsze, nie zrozumiałem cię, chociaż wszystko wydawało się jasne...

Czuł się tak rozbity i zmęczony, że tylko z ogromnym wysiłkiem zmusił się do powstania i odejścia. A kiedy się odwrócił, żeby po raz ostatni popatrzeć na Kamila, zobaczył Falę.

W oddali, nad północnym horyzontem, za czerwonawą mgiełką osiadającego pyłu skrzyła się na białawym niebie oślepiająca wstęga, jasna jak słońce.

No, to już koniec, ocieżale pomyślał Robert. Daleko nie ucieknę. Za pół godziny będzie tu i pójdzie dalej, a tutaj pozostanie gładka, czarna pustynia. Wieża, oczywiście, jakoś przetrwa i nic się nie stanie ulmotronom, pterokar ocaleje i oderwane skrzydło zawisnie w gorącej, bezwietrznej ciszy. I być może po Kamilu zostanie kask. A po mnie w ogóle nic nie zostanie. Przyjrzał się sobie jakby na pożegnanie - poklepał po nagiej piersi, pomacał bicepsy. Szkoda, pomyślał. I w tym momencie zauważył autolot.

Autolot stał za wieżą - mały dwuosobowy flyer podobny do pstrokatego żółwia, szybki, ekonomiczny, zadziwiająco prosty i wygodny w kierowaniu. Autolot Kamila. Ależ naturalnie, to był flyer Kamila!

Robert zrobił w jego kierunku kilka niepewnych kroków, a potem na łeb na szyję pomknął, omijając wieżę. Nie spuszczał oczu z flyera, jakby się bojąc, że nagle zniknie, potknął się o coś i na płask przejechał po kłującej trawie, zdzierając sobie skórę z piersi i brzucha. Zerwał się zaraz na nogi i odwrócił. Ciężki cylinder ulmotronu z gładkimi, aż do błękitu wypolerowanymi ściankami jeszcze leciutko kołysał się od uderzenia. Robert spojrzał na północ. Zza horyzontu wyrastała już czarna ściana. Podbiegł do autolotu i wzbijając tuman kurzu wskoczył na siedzenie; namacawszy rękojeść steru od razu ruszył pełnym gazem.

Strefa stepów ciągnęła się do samego Greenfield i Robert pokonał ją ze średnią prędkością pięciuset kilometrów na godzinę. Autolot mknął nad stepem jak pchła - ogromnymi skokami. Oślepiająca wstęga wkrótce zniknęła za horyzontem. W stepie wszystko wydawało się normalne: i sucha, szpeceniasta trawa, i drżące opary nad solniskami, i rzadkie pasemka karłowatych krzewów. Słońce piekło bezlitośnie. I, o dziwo, nigdzie nie było żadnych śladów ani ziarnojadki, ani ptaków, ani huraganu. Zapewne huragan rozpędził

wszelkie żywe stworzenia i sam zagubił się w tych bezpłodnych, odwiecznie pustynnych bezkresach Pomocnej Tęczy, które sama natura przeznaczyła dla szalonych eksperymentów fizyków-zerowców. Pewnego razu, kiedy Robert był jeszcze nowicjuszem, gdy Stolicę nazywano po prostu stacją, a Greenfield w ogóle nie było, przechodziła przez te miejsca Fala, wywołana przez wspaniałe doświadczenie zmarłego już Liu Fynczena; wtedy wszystko tu było czarne, ale minęło zaledwie siedem lat i czepliwa, niewybredna trawa na nowo odrzuciła pustynię daleko na pomoc, do samych rejonów erupcji.

Wszystko powróci na swoje miejsce, myślał Robert. Wszystko będzie jak dawniej, tylko Kamila już nie będzie. I jeśli kiedykolwiek ktoś nagle pojawi się w fotelu za moimi plecami, będę wiedział, że jest to na pewno tylko widmo. A teraz pójdę do Malajewa i rzucę mu prosto w twarz: "Pańskie ulmotrony zostawiłem." A on wycedzi przez zęby: "Jak pan śmiał, Sklarow?" A wtedy mu powiem: "Gwiżdżę na ulmotrony, bo przez pańskie ulmotrony zginął Kamil!" A on odpowie: "Bardzo mi, oczywiście, przykro, ale ulmotrony trzeba było przywieźć". W końcu wpadnę w taką wściekłość, że wszystko mu wygarnę: "Ty soplu lodowy!" ryknę. "Ty bałwanie z elektronicznym sterowaniem. Jak śmiesz myśleć o ulmotronach, skoro zginął Kamil?! Jesteś bez duszy, ty podły jaszczurze!"

Dwieście kilometrów przed Greenfield zobaczył Charybdy - gigantyczne telemechaniczne czołgi z rozwartymi paszczami energopochłaniaczy. Charybdy ciągnęły tyralierą od horyzontu do horyzontu, zachowując regularne półkilometrowe odstępki, ze szczękiem i ogłuszającym łoskotem cyklopowych silników. Zostawiały w żółtym stepie za sobą szerokie pasma brązowej ziemi, przeoranej aż do bazaltowej podstawy kontynentu. Traki gąsiennic rozbłyskiwały w słońcu. A w oddali, z prawej strony na zmatowiałym niebie miotał się ledwie dostrzegalny punkcik - był to helikopter naprowadzający, kierujący ruchem metalowych potworów. Charybdy szły na Falę.

Energopochłaniacze najwidoczniej jeszcze nie pracowały, ale Robert na wszelki wypadek ostro zwiększył wysokość i zaczął się zniżać dopiero wtedy, gdy z naprzeciwka wynurzyło się z mgły Greenfield - kilka białych domków i kwadratowa wieża kontrolna dalekiego zasięgu - otoczone bujną ziemską zielenią. Na pomocnych peryferiach, przygniatając swym ciężarem palmowy zagajnik, posępnie czerniała nieruchoma charybda, kierując prosto na Roberta bezdenną tubę pochłaniacza, i jeszcze dwie Charybdy stały na prawo i na lewo od osiedla. Dwa helikoptery wzbily się nad wieżę i odleciały ku południowi. Na placu wśród zielonych gazonów lśniły w słońcu błoniaste skrzydła pterokarów. Wokół biegali i krzżeli się ludzie.

Robert podprowadził autolot do wejścia na wieżę i wyskoczył na ganek. Ktoś cofnął się zaskoczony, kobiecy głos krzyknął: "Kto to?" Robert ujął klamkę szklanych drzwi i na moment zamarł w bezruchu, wpatrując się w swoje odbicie - prawie nagi, cały pokryty zapiekłym kurzem, wściekle oczy, przez pierś i brzuch biegnie szerokie, szerniałe zadrapanie... Dobra, pomyślał i szarpnął drzwi. "Ależ to Robert!" krzyknął ktoś z tyłu. Powoli wszedł na górę po schodach i natknął się na Patryka. Patryk patrzył na niego z otwartymi ustami. "Patryku", powiedział Robert. "Patryku, przyjacielu, Kamil zginął..." Patryk zamrugał i nagle zatkał sobie usta ręką. Robert poszedł dalej. Drzwi do dyspozytorni stały otworem. Byli tam Malajew, szef północnych zerowców Szota Pietrowicz Pagawa, Karl Hoffman i jeszcze jacyś ludzie - zdaje się, biolodzy. Robert zatrzymał się w drzwiach i złapał się futryny. Za plecami rozległ się tupot na stopniach i ktoś zawołał: "Skąd on wie?"

- Kamil... - rzekł Robert ochryple i rozkaszał się.

Wszyscy popatrzyli na niego skonsternowani.

- O co chodzi? - ostro zapytał Malajew. - Co się z panem dzieje, Sklarow, dlaczego pan tak wygląda?

Robert podszedł do stołu i opierając brudne pięści na jakichś papierach, powiedział mu w twarz:

- Kamil zginął. Zmiażdżyło go.

Zrobiło się bardzo cicho. Oczy Malajewa zwęziły się.

- Jak to zmiażdżyło? Gdzie?

- Przygniótł go pterokar - powiedział Robert. - Przez pańskie drogocenne ulmotrony. Mógł się spokojnie uratować, ale pomagał mi ciągnąć pańskie drogocenne ulmotrony, i zmiażdżyło go. A ulmotrony zostawiłem. Zabierze je pan, kiedy przejdzie Fala. Rozumie pan? Zostawiłem. Gdzieś się tam teraz poniewierają.

Ktoś podał mu szklanę wody. Wziął szklanę i łapczywie wypił. Malajew milczał. Jego blada twarz zrobiła się zupełnie biała. Karl Hoffman bez celu przerzucał jakieś schematy i nie podnosił oczu. Pagawa podniósł się i stał z opuszczoną głową.

- Straszne... - powiedział wreszcie Malajew. - To był wielki człowiek. - Potarł czoło. - Bardzo wielki człowiek. - Znowu popatrzył na Roberta. - Jest pan bardzo zmęczony, Sklarow...

- Nie zmęczyłem się.

- Proszę doprowadzić się do porządku i odpocząć.

- I to wszystko? - zapytał gorzko Robert.

Twarcz Malajewa zrobiła się obojętna i szorstka jak przedtem.

- Zatrzymam pana jeszcze na chwilę. Widział pan Falę?

- Widziałem. Falę także widziałem.

- Jakiego to typu Fala?

W mózgu Roberta coś się przesunęło i wszystko powróciło na swoje dawne miejsce. Znowu stali naprzeciw siebie władczy i mądry kierownik Malajew i jego wieczny laborant-obszwarator Robert Sklarow, onże "Młodość Świata".

- Chyba trzeciego - odpowiedział pokornie. - Fala Liu.

Pagawa podniósł głowę.

- Do-obrze! - oświadczył niespodziewanie dziarsko. I zaraz rozkleił się, oparł łokciami o stół i usiadł bezwładnie. - Oj, Kamilu. Oj, Kamilu - wymamrotał. - Oj, biedaczysko!... - Chwycił się za wielkie, odstające uszy i zaczął kołysać głową nad papierami.

Jeden z biologów, bojaźliwie zezując na Roberta, pociągnął Malajewa za łokieć.

- Proszę wybaczyć - wtrącił nieśmiało. - A co w tym dobrego? To Fala Liu.

Malajew przestał wreszcie świdrować Roberta twardym spojrzeniem.

- To znaczy - odparł - że zginie tylko pomocne pasmo zasiewów. Ale jeszcze nie mamy pewności, czy to Fala Liu. Obszwarator mógł się pomylić.

- No, jak to? - zajęczał biolog. - Umawialiśmy się przecież... Macie te... Charybdy... Nie można jej zatrzymać? Jacy z was fizycy?

Karl Hoffman odezwał się:

- Być może uda się wytłumić inercję Fali na linii nieciągnącego spadku.

- Co znaczy "być może"?! - krzyknęła nieznajoma kobieta stojąca obok biologa. - Chyba rozumiecie, że to skandal? Gdzie są wasze gwarancje? Gdzie wasze przepiękne mowy? Czy rozumiecie, że pozostawiacie planetę bez chleba i mięsa?

- Nie przyjmuję takich pretensji - powiedział zimno Malajew. - Głęboko wam współczuję, ale wasze pretensje powinny być adresowane do Etienne'a Lamondoisa. My nie robimy zero-eksperymentów. Badamy Falę...

Robert odwrócił się i powoli poszedł do drzwi. A Kamil w ogóle ich nie obchodzi, pomyślał. Fala, zasiewy, mięso... Za co go tak nie lubili? Za to, że był mądrzejszy od nich wszystkich razem wziętych? A może oni w ogóle nikogo nie lubią? W drzwiach stały chłopaki, znajome twarze, zatrwożone, smutne, zatroskane. Ktoś wziął go za ramię. Popatrzył z góry na dół i spotkał się wzrokiem z małymi, smutnymi oczami Patryka.

- Chodźmy, Rob, pomogę ci się umyć...

- Patryku - powiedział Robert i położył mu rękę na ramieniu. - Patryku, uciekaj stąd. Zostaw ich, jeśli chcesz pozostać człowiekiem...

Twarz Patryka wykrzywiła się cierpiętnicze.

- No co ty, Rob - wymamrotał. - Nie trzeba tak. To minie.

- Minie - powtórzył Robert. - Wszystko minie. Fala minie. Życie minie. I wszystko zostanie zapomniane. Czy to nie obojętne, kiedy zostanie zapomniane? Od razu czy później...

Za jego plecami już całkiem otwarcie klócili się biolodzy. Malajew żądał: "Komunikat!" Szota krzyczał: "Nie przerywać pomiarów ani na sekundę! Wykorzystajcie całą automatykę! Do diabła z nią, możecie potem wyrzucić!"

- Chodźmy, Rob - poprosił Patryk.

I w tej chwili, górując nad gwarem i krzykami, w dyspozytorni zagrzmiął znajomy, monotony głos:

- Proszę o uwagę!

Robert gwałtownie odwrócił się. Ugięły się pod nim kolana. Na wielkim ekranie ujrzał poczwarny matowy kask i okrągłe nieruchome oczy Kamila.

- Mam mało czasu - mówił Kamil. To był prawdziwy, żywy Kamil. Trzęsła mu się głowa, poruszały wąskie wargi i w takt słów drgał koniuszek długiego nosa. - Nie mogę połączyć się z dyrektorem.

Natychmiast wezwijcie "Strzałę". Natychmiast ewakuujcie całą pomoc. Natychmiast! - Odwrócił głowę i popatrzył gdzieś w bok, i widać było jego policzek wybrudzony pyłem. - Za Falą Liu nadciąga Fala nowego typu. Z nią nie...

Oślepiający trzask i ekran zgasł. W dyspozytorni zapadła grobowa cisza i nagle Robert zobaczył straszne, zmrużone, wpatrzone w niego oczy Malajewa.



## Rozdział 4

Na Tęczy znajdował się tylko jeden kosmodrom i na tym kosmodromie stał tylko jeden gwiazdolot, desantowy gwiazdolot "Tariel-2" typu sigma D. Widać go było z daleka - białobłękitna kopuła o wysokości siedemdziesięciu metrów jak błyszczący obłok wznosiła się nad płaskimi, ciemnozielonymi dachami stacji paliwowych. Gorbowski zatoczył nad nim dwa niepewne koła. Wylądować przy gwiazdolocie było trudno: otaczał go ciasny pierścień różnorodnych maszyn. Z góry dostrzegał niezgrabne roboty paliwowe, przyssane do sześciu wlewów zbiornika, zaaferowane automaty awaryjne, obmacujące każdy centymetr poszycia, szarego robota-matkę, kierującego tuzinem żwawych maszyn-analizatorów. Widok dobrze znany, radujący gospodarskie oko.

Jednak przy władze bagażowym doszło do jawnego naruszenia wszelkich praw. Pokorne automaty kosmodromu zostały odepchnięte na bok; tłoczyło się tam mnóstwo pojazdów transportowych wszelkich typów. Ciężarowe bindugi, turystyczne dyliżanse, osobowe testudo i gepardy, a nawet jeden kret - ciężka maszyna ryjąca do robót górniczych. Wszystkie te maszyny dokonywały skomplikowanych ewolucji przy władze, tłocząc się i popychając nawzajem. Z boku; w największym skwarze stało kilka helikopterów i ponieważ się puste skrzynie, w których Gorbowski z łatwością rozpoznał opakowania ulmotronów. Na skrzyniach smutno siedzieli jacyś ludzie.

Szukając miejsca do lądowania Gorbowski rozpoczął trzecie koło i wtedy zauważył, że na ogonie siedzi mu ciężki pterokar, a jego kierowca, wysuwając się po pas z otwartych drzwiczek, daje mu jakieś niezrozumiałe znaki. Gorbowski wylądował między helikopterami i skrzyniami, a pterokar natychmiast bardzo niezręcznie klapnął tuż obok.

- Ja za panem - oświadczył rzeczowo kierowca pterokaru, wyskakując z kabiny.

- Nie radzę - odparł łagodnie Gorbowski. - Nie mam nic wspólnego z kolejką. Jestem kapitanem tego gwiazdolotu.

- Wspaniale! - krzyknął półgłosem, rozglądając się ostrożnie na boki. - Zaraz utrzymemy nosa zerowcom. Jak się nazywa kapitan tego statku?

- Gorbowski - powiedział Gorbowski z lekkim ukłonem.

- A nawigator?

- Walkenstein.

- Świetnie - stwierdził pilot pterokaru. - A więc pan jest Gorbowskim, a ja - Walkensteinem.

Chodźmy!

Wziął Gorbowskiego pod rękę. Gorbowski zaczął się opierać.

- Niech pan posłucha, Gorbowski, niczym nie ryzykujemy. Znam świetnie te statki. Sam leciałem tutaj na desantowcu. Dotrzemy do magazynu, weźmiemy po ulmotronie i zamkniemy się w mesie. Kiedy skończy się to wszystko - niedbałym ruchem wskazał na pojazdy - spokojnie wyjdziemy.

- A jeśli przyjdzie prawdziwy nawigator?

- Prawdziwy nawigator będzie musiał długo udowadniać, że jest prawdziwy - przekonywał samozwańczy nawigator.

Gorbowski parsknął śmiechem i rzekł:

- Chodźmy.

Pseudonawigator przyglądził włosy, zrobił głęboki wdech i zdecydowanie ruszył naprzód. Zaczęli przeciskać się między pojazdami. Pseudonawigator mówił bez przerwy - nagle okazało się, że dysponuje głębokim, sugestywnym basem.

- Sądzę - oznajmił wszem i wobec - że oczyszczenie dyfuzorów jedynie spowoduje zwłokę.

Proponuję po prostu wymienić połowę kompletów, a główną uwagę zwrócić na przegląd poszycia. Kolego, przesuniecie trochę waszą maszynę! Przeszkadzacie... Otóż więc, Walentinie Pietrowiczu, przy wchodzeniu na derytrynitację... Cofnijcie ciężarówkę, kolego. Nie rozumiem, dlaczego się tak tłoczycie? Jest kolejka, jest lista, jakieś prawo wreszcie... Wyślijcie przedstawicieli... Walentynie Pietrowiczu, nie wiem jak pana, lecz mnie osobiście szokuje dzikość tubylców. Czegoś takiego nie widzieliśmy nawet na Pandorze wśród tachorgów...

- Ma pan całkowitą słuszność, Mark - powiedział Gorbowski, którego zaczynała bawić ta sytuacja.

- Co? Tak, ma się rozumieć... Okropne obyczaje! Dziewczyna w jedwabnej chusteczce wysunęła się z kabiny ciężarówki i zapytała:

- Nawigator i kapitan, jeśli się nie mylę?

- Tak! - odpowiedział wyzywająco nawigator. - I jako nawigator radziłbym pani jeszcze raz przeczytać instrukcję o kolejności rozładunku.

- Myśli pan, że to konieczne?

- Niewątpliwie. Pani zupełnie niepotrzebnie wprowadziła ciężarówkę do dwudziestometowej strefy...

- A wiecie, przyjaciele - rozległ się wesoły, młody głos - ten nawigator ma uboższą fantazję niż dwaj poprzedni.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - obrażonym tonem spytał fałszywy nawigator. W jego twarzy było coś z Nerona - aktora.

- Widzi - pan - powiedziała z przejęciem dziewczyna w chusteczce. - Tam oto, na pustych skrzyniach, już siedzą dwaj nawigatorzy i jeden kapitan. A puste skrzynie - to opakowania po ulmotronach, które zabrał inżynier pokładowy - skromna młoda kobieta. W tej chwili ściga ją pełnomocnik Rady...

- Jak się to panu podoba, Walentinie Pietrowiczu? - krzyknął fałszywy nawigator. - Samozwańcy. He?

- Mam wrażenie - powiedział w zadumie Gorbowski - że nie dostanę się na własny statek.

- Słuszny wniosek - powiedziała dziewczyna w chusteczce. - I już nie nowy.

Nawigator miał właśnie zdecydowanie ruszyć naprzód, ale ciężarówka po prawej przesunęła się nieco w lewo, czarno-żółty dyliżans po lewej troszeczkę skierował się w prawo, a prosto na drodze do zakazanego wjazdu raptem, ze złością odrzucając bryły ziemi, zaczęły się obracać wyszczerzone zębiska kreta.

- Walentinie Pietrowiczu! - zawołał z oburzeniem fałszywy nawigator. - W takich warunkach nie gwarantuję gotowości gwiazdolotu!

- Stare - powiedział smutno kierowca dyliżansu.

Dźwięczny, wesoły głos przemówił znowu:

- Co to za nawigator?! Śmiertelna nuda. Pamiętajcie: drugiego nawigatora - ten rzeczywiście nas ubawił! Jak zadzierał podkoszulek i pokazywał ślady uderzeń meteorytów!

- Nie, pierwszy był lepszy - zaoponował, odwracając się, kierowca kreta.

- Tak, dobry był - zgodziła się dziewczyna w chusteczce. - Jak to szedł między pojazdami, trzymając przed oczami fotografię, i żałośnie biadolili: "Jakżeś ty daleko, Haluś moja droga! Za dziewiątą rzeką biedna ma nieboga!"

Fałszywy nawigator, z rezygnacją spuściwszy głowę, zdrapywał bezmyślnie bryły ziemi z błyszczących zębów kreta.

- No a pan co powie? - zwrócił się kierowca dylizansu do Gorbowskiego. - Cóż pan tak ciągle milczy? Trzeba cokolwiek mówić... Coś przekonywującego.

Wszyscy z zaciekawieniem czekali na jego słowa.

- Mógłbym chyba wejść przez właz pasażerski - powiedział w zadumie Gorbowski.

Pseudonawigator z nadzieją uniósł głowę i popatrzył na niego.

- Nie mógłby pan - pokręcił głową kierowca. - Jest zamknięty od wewnątrz.

W ciszy, jaka na chwilę zapanowała, wyraźnie dał się słyszeć głos Kaneko:

- Nie mogę dać dziesięciu kompletów, proszę zrozumieć, panie Prozorowski!

- A pan niech zrozumie mnie, panie Kaneko! Mamy zamówienie na dziesięć kompletów. Jak mogę wrócić z sześcioma?

Ktoś się wtrącił:

- Niech pan bierze, Prozorowski... Niech pan bierze na razie sześć. Nasze cztery komplety zwolnią się za tydzień, wtedy przyślę je panu.

- Obiecuje pan?

Dziewczyna w chusteczce powiedziała:

- Prozorowskiego po prostu szkoda. Mają szesnaście układów na ulmotronach!

- Tak, nędza - westchnął kierowca dylizansu.

- A my mamy pięć - ze smutkiem przyznał się fałszywy nawigator. - Pięć układów i zaledwie jeden ulmotron. Wydawałoby się, że to drobnostka przywieźć ze dwieście sztuk?

- Moglibyśmy przywieźć i dwieście, i trzysta - oświadczył Gorbowski. - Ale ulmotrony potrzebne są teraz wszystkim. Na Ziemi zainstalowano sześć nowych linii produkcyjnych "ultra"...

- Linia "ultra" - odezwała się dziewczyna w chusteczce. - Łatwo powiedzieć! Czy pan ma pojęcie o technologii ulmotronu?

- W najogólniejszych zarysach.

- Sześćdziesiąt kilogramów ultramikroelementów... Ręczne sterowanie montażem, półmikronowe tolerancje... A jaki szanujący się człowiek pójdzie teraz na montera? Pan by, na przykład, poszedł?

- Rekrutuje się ochotników - powiedział Gorbowski.

- Ha!... - wzdrygnął się kierowca kreta. - Tydzień pomocy fizykom!...

- No cóż, Walentinie Pietrowiczu - rzekł fałszywy nawigator uśmiechając się z zawstyżeniem. - Wygląda na to, że nas nie wpuszczą...

- Jestem Leonid Andriejewicz - odpowiedział Gorbowski.

- A ja Hans - przyznał się markotnie pseudonawigator. - Chodźmy posiedzieć na skrzyniach. Może coś się wydarzy...

Dziewczyna w chusteczce pomachała im ręką. Precyzyjnie się pomiędzy stłoczonymi pojazdami i usiedli na skrzyniach obok innych fałszywych astronautów. Powitano ich współczująco-drwiącym milczeniem.

Gorbowski obmacał skrzynię. Plastik był gruby i twardy. W słonecznym skwarze parzył. Gorbowski nie miał tu nic do roboty, ale, jak zawsze, okropnie chciał poznać tych ludzi, dowiedzieć się, kim są i w jaki sposób doszli do takiego życia, i w ogóle jak im się wiedzie. Zestawił ze sobą parę skrzynek, zapytał: "Pozwolicie, że się położę?", a następnie wyciągnął się na całą długość i za pomocą zacisku śrubowego umocował przy głowie mikroklimatyzator. Potem włączył odtwarzacz.

- Jestem Gorbowski - przedstawił się. - Leonid. Byłem kapitanem tego gwiazdolotu.

- Ja także byłem kapitanem tego gwiazdolotu - pośepnie zakomunikował korpulentny ciemnowłosy człowiek siedzący po prawej stronie. - Nazywam się Alpa.

- A ja jestem Banin - oświadczył nagi do pasa szczupły młodzieniec w białej panamie. - Byłem i pozostaję nadal nawigatorem. Przynajmniej dopóki nie otrzymam ulmotronu.

- Hans - rzucił krótko fałszywy Walkenstein, rozsiadając się na trawie jak najbliżej mikroklimatyzatora.

Trzeci "nawigator" widocznie ich nie słyszał. Siedział plecami do nich i coś pisał w notesie rozłożonym na kolanach.

Spomiędzy pojazdów tłoczących się u wjazdu wyjechał drugi gepard. Drzwiczki uchyliły się nieco, wypadły stamtąd puste skrzynki po ulmotronach i gepard pomknął w step.

- Prozorowski - powiedział Banin z zawiścią.

- Tak - potwierdził Alpa gorzko. - Prozorowski nie musi kłamać. Prawa ręka Lamondoisa. - Westchnął głęboko. - Nigdy nie kłamałem. Nie znoszę kłamstwa. I teraz mi bardzo ciężko na duszy.

Banin powiedział sentencjonalnie:

- Jeśli człowiek zaczyna kłamać, nie mając na to ochoty, to znaczy, że gdzieś się coś rozregulowało. Skomplikowana sprawa.

- Wszystko zależy od systemu - rzekł Hans. - Chodzi we wszystkim o założenie wyjściowe: że więcej otrzymuje ten, kto ma lepsze wyniki.

- To niech pan zaproponuje inne założenie - odezwał się Gorbowski. - Nic ci nie wychodzi - masz, kochasiu, ulmotron. Udaje ci się - posiedź sobie na skrzyniach...

- Tak - powiedział Alpa. - Jakiś straszny krach. Czy ktoś słyszał kiedykolwiek o kolejkach po aparaturę? Albo po energię? Składałeś zamówienie i dostawiałeś... Nigdy cię nawet nie interesowało, skąd się jedno i drugie bierze. Owszem, intuicja podpowiadała, że istnieje masa ludzi pracujących z satysfakcją w sferze materialnego zaopatrywania nauki. Nawiasem mówiąc, to rzeczywiście bardzo ciekawa praca. Pamiętam, że ja sam po skończeniu szkoły z dużą przyjemnością zajmowałem się optymalizacją montażu układów neutrinowych. Teraz już o nich się nie pamięta, lecz kiedyś analiza neutrinowa była bardzo popularną metodą. - Wydobył z kieszeni poczerniałą fajkę i powolnymi, pewnymi ruchami nabił ją.

Wszyscy obserwowali go z zaciekawieniem. - Powszechnie wiadomo, że stosunek ilości użytkowników aparatury do producentów tejże aparatury od tamtej pory nie zmienił się w sposób istotny. Ale widocznie potwornie wzrosło zużycie. Sądząc po wszystkim - wystarczy rozejrzeć się dokoła - przeciętny badacz potrzebuje dziś dwadzieścia razy więcej energii i urządzeń niż za moich czasów. - Zaciągnął się głęboko, a fajka zasyczała i zaskwierczała. - Taka sytuacja da się łatwo wyjaśnić. Od niepamiętnych czasów panuje pogląd, że na największą uwagę zasługuje problem, który rodzi maksymalną liczbę nowych idei. To jest naturalne, inaczej być nie powinno. Ale o ile pierwotny problem dotyczy poziomu subelektronowego i wymaga, przyjmijmy, ilości aparatury równej jedności, o tyle każdy z dziesięciu pochodnych problemów zagłębia się w materię co najmniej o piętro niżej i wymaga już dziesięciu jednostek. Zatrząsienie problemów wywołuje zatrząsienie potrzeb. Nie mówię już o tym, że interesy wytwórców aparatury nie zawsze są zgodne z interesami użytkowników.

- Zakłęty krąg - rzekł Banin. - Nasi ekonomiści nawalili.

- Ekonomiści też są badaczami - zaproponował Alpa. - I oni mają do czynienia z zatrząsieniem problemów. A skoro już zaczęliśmy o tym mówić, powiem wam o ciekawym paradoksie, który bardzo mnie interesuje ostatnimi czasy. Weźmy transport zerowy. Młode, płodne i bardzo perspektywiczne zagadnienie. Ponieważ jest płodne, Lamondois słusznie uzyskuje olbrzymie środki materialne i energetyczne. Aby utrzymać ich stały dopływ, Lamondois jest zmuszony bezustannie pędzić naprzód - szybciej, głębiej i... w coraz węższym zakresie. A im szybciej i głębiej wdziera się, tym więcej mu potrzeba i tym dotkliwiej odczuwa niedobór środków, aż wreszcie zaczyna hamować sam siebie. Spójrzcie na tę kolejkę. Czterdzieści osób czeka i traci drogocenny czas. Jedna trzecia naukowców Tęczy traci czas, energię nerwową i rytm myśli! A pozostałe dwie trzecie? Siedzą z założonymi rękami w laboratoriach i mogą teraz myśleć wyłącznie o jednym: przywiozą, czy nie przywiozą? Czy nie jest to hamowanie własnego rozwoju? Dążenie do zachowania dopływu zasobów materialnych powoduje wyścig, wyścig wywołuje nieproporcjonalny wzrost potrzeb i w efekcie mamy do czynienia z hamowaniem własnego rozwoju.

Alpa zamilkł i zaczął czyścić fajkę. Z gromady maszyn, rozpychając je na prawo i lewo, wy dostał się kret. W oknie absurdalnie wysokiej kabiny sterczało wieko nowiutkiego ulmotronu. Przejeżdżając obok, kierowca pomachał ręką samozwańczym nawigatorom.

- Chciałbym wiedzieć, po co Tropicielom ulmotron - mruknął Hans.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy odprowadzali wzrokiem kreta, na którego tylnej ścianie widniał znak rozpoznawczy Tropicieli - czarny siedmiokąt na czerwonej tarczy.

- Moim zdaniem - powiedział Banin - winni są jednak ekonomiści. Oni są od przewidywania. Należało dwadzieścia lat temu tak ukierunkować szkoły, żeby dzisiaj nie brakowało kadr naukowych.

- Nie wiem, nie wiem - odpowiedział Alpa. - Czy w ogóle możliwe jest planowanie podobnego procesu? Mało o tym wiemy, ale przecież może się okazać, że ustalenie równowagi między duchowym potencjałem badaczy i materialnymi możliwościami ludzkości jest w ogóle niewykonalne. Mówiąc w dużym uproszczeniu, idei będzie zawsze znacznie więcej niż ulmotronów.

- No, to jeszcze trzeba udowodnić - powiedział Banin.

- Przecież nie twierdziłem, że to jest udowodnione. Wyraziłem jedynie przypuszczenie.

- Takie przypuszczenie jest fałszywe - oświadczył Banin. Zaczął się gorączkować. - Ono

sankcjonuje kryzys po wsze czasy! To ślepy zaulek!...

- Dlaczego ślepy zaulek? - cichutko zapytał Gorbowski. - Wprost przeciwnie.

Banin nie słuchał.

- Trzeba wychodzić z kryzysu! - mówił. - Trzeba szukać wyjść! A wyjście na pewno nie kryje się w mglistych przypuszczeniach!

- Dlaczego w mglistych? - powiedział Gorbowski. Ale znów nie zwrócono na niego uwagi.

- Rezygnować z podstawowej zasady dystrybucji niepodobna - mówił Banin. - Byłoby to po prostu nieuczciwe w stosunku do najlepszych pracowników. Wy będziecie przez dwadzieścia lat przeżuwać jedno prywatne małe zagadnienie, a energii będziecie, powiedzmy, otrzymywać tyle, ile Lamondois. To absurdalne! A więc, nie tu jest wyjście? Nie tutaj. A czy pan widzi wyjście? Czy ogranicza się pan do chłodnej rejestracji faktów?

- Jestem długoletnim pracownikiem naukowym i starym człowiekiem - powiedział Alpa. - Całe życie zajmowałem się fizyką. Wprawdzie dokonałem niewiele, jestem szeregowym badaczem, ale nie o to chodzi. Wbrew wszystkim tym nowym teoriom jestem przekonany, że sens ludzkiego życia tkwi w poznaniu naukowym. I, doprawdy, patrzę z goryczą, jak miliardy ludzi w naszych czasach stronią od nauki, szukając swego powołania w sentymentalnym obcowaniu z przyrodą, które nazywają sztuką, zadowolają się ślizganiem po powierzchni zjawisk i nazywają to percepcją estetyczną. A mnie się wydaje, że sama historia przesądziła o podziale ludzkości na trzy grupy: na żołnierzy nauki, wychowawców i lekarzy, też zresztą żołnierzy nauki. Obecnie nauka przeżywa okres niedostatku materialnego i jednocześnie miliardy ludzi malują obrazki, rymują słowa... w ogóle tworzą wrażenia. A przecież wśród nich jest wielu potencjalnie wspaniałych pracowników. Energicznych, błyskotliwych, niewiarygodnie zdolnych.

- No, no - rzekł Banin.

Alpa przemilczał i zaczął nabijać fajkę.

- Pozwoli pan, że doprowadzę pańską myśl do końca - powiedział Gorbowski. - Widzę, że pan się nie decyduje.

- Proszę spróbować - zgodził się Alpa.

- Dobrze by było wszystkich tych malarzy i poetów spędzić do obozów szkoleniowych, odebrać im pędzle i gęsie pióra, nakazać odbycie przyspieszonych kursów i przymusić do budowania dla żołnierzy nauki nowych linii technologicznych "ultra", do montowania tau-traktorów, do odlewania stosów ergochronnych...

- Ale bzdura! - powiedział z rozczarowaniem Banin.

- Tak, bzdura - zgodził się Alpa. - Ale nasze myśli nie zależą od naszych sympatii i antypatii. Myśl ta nie jest dla mnie przyjemna, nawet mnie przeraża, lecz jednak powstała... i nie tylko we mnie.

- To bezpłodna myśl - leniwie powiedział Gorbowski patrząc w niebo. - Oznacza w praktyce łagodzenie sprzeczności między duchowym i materialnym potencjałem ludzkości w ujęciu globalnym. Prowadzi do nowej sprzeczności, starej i banalnej - między logiką maszyny i systemem moralności i wychowania. Przy takim zderzeniu logika maszyny zawsze ponosi porażkę.

Alpa przytaknął i otoczył się obłokami dymu. Hans powiedział w zadumie:

- Myśl jest straszna. Czy pamiętacie "projekt dziesięciu"? Kiedy Radzie zaproponowano

przerzucenie do sfery nauki części energii z Funduszu Obfitości... W imię czystej nauki przykręcać ludzkości śrubę w zakresie elementarnych potrzeb. Czy pamiętacie to hasło: "Uczeni są gotowi głodować?"

Banin podchwycił:

- A Yamakawa wstał wówczas i powiedział: "Ale sześć miliardów dzieci nie jest. Tak samo nie są gotowe, jak wy nie jesteście gotowi do opracowywania projektów socjalnych."

- Też nie lubię fanatyków - powiedział Gorbowski.

- Niedawno przeczytałem książkę Lorentza - rzekł Hans. - *Ludzie i problemy...* Czytaliście?

- Czytaliśmy - odpowiedział Gorbowski.

Alpa przecząco pokręcił głową.

- Dobra książka, prawda? I uderzyła mnie w niej jedna myśl. Wprawdzie Lorentz jej nie rozwija...

- No, no? - przerwał mu Banin.

- Pamiętam, całą noc o tym myślałem. Brakowało aparatury, czekaliśmy, aż przywiozą - wiecie, taka zwykła szarpanina nerwów. I doszedłem do następującego wniosku. Lorentz napomyka o naturalnej selekcji w nauce. Jakie czynniki określają pierwszeństwo kierunków naukowych dziś, kiedy nauka już nie wpływa albo prawie nie wpływa na dobrobyt materialny?

- No, no? - niecierpliwił się Banin.

- Otóż doszedłem do następującego wniosku. Po jakimś czasie badania naukowe, które doprowadziły do największych sukcesów, pochłoną wszystkie dostępne środki materialne, niesłuchanie się pogłębią, a pozostałe kierunki umrą po prostu własną śmiercią. I cała nauka będzie się składała z dwóch-trzech kierunków, w których nikt, z wyjątkiem koryfeuszy, nie będzie się orientować. Rozumiecie mnie?

- To bzdura! - zawołał Banin.

- Dlaczego miałyby to być bzdura? - spytał Hans obrażonym tonem. - Oto fakty. W nauce istnieją setki tysięcy kierunków. W każdym pracują tysiące ludzi. Osobiście znam cztery grupy badaczy, którzy z powodu systematycznych niepowodzeń rzucali pracę i wstępowali do innych grup, mających lepsze rezultaty. Sam dwukrotnie tak postąpiłem...

- Żarty żartami - powiedział Alpa. - Weźcie na przykład Lamondois. Rwie się na złamanie karku do realizacji T-zero. T-zero, jak zresztą należało się spodziewać, daje masę nowych odgałęzień. Jednakże Lamondois jest zmuszony odrąbywać niemal wszystkie odgałęzienia, po prostu musi je ignorować. Ponieważ nie ma żadnej możliwości skrupulatnego sprawdzenia, na ile każde z tych odgałęzień rokuje jakies nadzieje. Mało tego, był zmuszony w dodatku świadomie ignorować wyraźnie fascynujące i porywające zjawiska. Tak zdarzyło się z Falą. Niespodziewane, zdumiewające i, moim zdaniem, groźne zjawisko. Ale dążąc do swego celu, Lamondois zdecydował się nawet na rozłam we własnym obozie. Posprzeczał się z Arystotelesem, odmawia zaopatrywania falowców. Wdziera się w głąb, w głąb, w głąb, jego problem staje się coraz węższy. Fala pozostała za nim daleko w tyle. Jest mu jedynie zawadą, nie chce o niej słyszeć. A ona, nawiasem mówiąc, obraca w popiół zasiewy...

Nad kosmodromem zabrzmiał głośnik komunikatów ogólnych.

- Uwaga, Tęcza! Mówi dyrektor. Starszego brygady oblatywaczy Gabę wraz z brygadą proszę o bezzwłoczne stawienie się u mnie.

- Szczęśliwi ludzie - rzekł Hans. - Żadne ulmotrony nie są im potrzebne.

- Dość mają własnych kłopotów - odpowiedział Banin. - Widziałem raz, jak trenują - nie, lepiej już być samozwańczym nawigatorem... A później dwa lata siedzieć bez pracy i codziennie wysłuchiwać: "Jeszcze trochę cierpliwości. Może jutro..."

- Cieszę się, że zaczęliście mówić o tym, co na tyłach - powiedział Gorbowski. - "Białe plamy" nauki. To zagadnienie także mnie frapuje. Moim zdaniem na tyłach u nas jest niedobrze... Weźmy na przykład maszynę z Massachusetts. - Alpa skinął głową. Gorbowski zwrócił się do niego. - Pan oczywiście powinien pamiętać. Teraz rzadko się o niej wspomina. Odurzenie cybernetyką minęło.

- Niczego nie mogę sobie przypomnieć o maszynie z Massachusetts - powiedział Banin. - No więc?

- To lęk stary jak świat: żeby maszyna nie stała się mądrzejsza od człowieka i nie podporządkowała go sobie... Z pół wieku temu w Massachusetts uruchomiono najbardziej skomplikowane urządzenie cybernetyczne, jakie kiedykolwiek istniało. Z jakąś tam fenomenalną prędkością działania, nieogarnioną pamięcią i mnóstwem innych takich rzeczy... I przepracowała ta maszyna równo cztery minuty. Wyłączono ją, zacementowano wszystkie wejścia i wyjścia, odprowadzono od niej energię, zaminowano i ogrodzono drutem kolczastym. Najprawdziwszym zardzewiałym drutem kolczastym - chcecie to wierzyć, nie chcecie - to nie.

- A o co właściwie chodzi? - spytał Banin.

- Zaczęła zachowywać się - powiedział Gorbowski.

- Nie rozumiem.

- I ja nie rozumiem, ale ledwie ją zdążyli wyłączyć.

- A czy ktoś rozumie?

- Rozmawiałem z jednym z jej twórców. Wziął mnie pod ramię, popatrzył mi w oczy i powiedział tylko: "Leonidzie, to było straszne."

- To nadzwyczajne - oświadczył Hans.

- E tam - odburknął Banin. - Bzdura. To mnie nie interesuje.

- A mnie interesuje - powiedział Gorbowski. - Przecież mogą ją włączyć znowu. Wprawdzie jest zakaz Rady, ale dlaczego nie można by znieść zakazu?

Alpa warknął:

- Każda epoka ma swych czarodziejów i swoje upiory.

- A propos złych czarowników - podchwycił Gorbowski. - Od razu przypomina mi się casus Feralnej Trzynastki.

Hansowi zapłonęły oczy.

- Casus Feralnej Trzynastki, a jakże! - powiedział Banin. - Trzynastu fanatyków... A propos, gdzie oni są teraz?

- Za pozwoleniem - wtrącił Alpa. - Chodzi o tych, którzy połączyli się z maszynami w jedną całość, nieprawdaż? Ale przecież oni zginęli.

- Podobno tak - powiedział Gorbowski - ale nie o to chodzi. Stworzono precedens.

- No cóż - rzekł Banin. - Nazywają ich fanatykami, ale uważam, że jest w nich coś pociągającego. Pozbyć się wszystkich swoich słabości, namiętności, wybuchów emocji... Nagi rozum plus nieograniczone możliwości doskonalenia organizmu. Badacz, który nie potrzebuje przyrządów, który jest sam sobie



przyrządem i sam sobie pojazdem. I żadnych kolejek po ulmotrony... Doskonale to sobie wyobrażam. Człowiek-flyer, człowiek-reaktor, człowiek-laboratorium. Odporny na wszystko, nieśmiertelny...

- Proszę mi wybaczyć, ale to już nie człowiek - odburknął Alpa. - To maszyna z Massachusetts.

- A jak oni zginęli, skoro są nieśmiertelni? - zainteresował się Hans.

- Autodestrukcja - odpowiedział Gorbowski. - Widocznie nie tak słodko być człowiekiem-laboratorium.

Zza pojazdów wynurzył się purpurowy z wysiłku człowiek z cylindrem ulmotronu na ramieniu. Banin zeskoczył ze skrzyni i pobiegł mu na pomoc. Gorbowski obserwował w zadumie, jak ładują ulmotron do helikoptera. Purpurowy człowiek skarżył się:

- Mało, że dają ci jeden zamiast trzech. Mało, że tracisz pół dnia. Musisz jeszcze udowodniać, że masz prawo! Nie wierzą ci! Możecie to sobie wyobrazić - nie wierzą ci! Nie wierzą!!!

Kiedy Banin wrócił, Alpa powiedział:

- Wszystko to jest dosyć fantastyczne. Jeśli pana interesują tyły, niech pan zwróci lepiej baczną uwagę na Falę. Co tydzień - kolejny transport zerowy. A każdy transport zerowy wywołuje Falę. Wielką lub małą erupcję. A zajmują się Falą po dyletancku. Żeby nie doszło do powstania drugiej Maszyny z Massachusetts, tylko bez wyłącznika. Kamil - zna pan Kamila? - rozpatruje ją jako zjawisko na skalę planetarną, ale jego argumenty są trudno dostępne. Z nim bardzo trudno się pracuje.

- A propos - zauważył Hans. - Wie pan, co Kamil sądzi o przyszłości? On uważa, że obecna fascynacja nauką - to swego rodzaju wdzięczność za obfitość, inercja wywodząca się z czasów, kiedy zdolność do logicznej percepcji świata była jedyną nadzieją ludzkości. Mówił tak: "Ludzkość jest w przededniu rozłamu. Emocjoniści i logicy - widocznie ma na myśli ludzi sztuki i ludzi nauki - stają się sobie obcy, przestają się rozumieć nawzajem i przestają się wzajemnie potrzebować. Człowiek rodzi się emocjonistą względnie logikiem. Leży to już w samej naturze człowieka. I kiedyś ludzkość podzieli się na dwa społeczeństwa, tak samo sobie obce, jak my teraz jesteśmy obcy Leonidom..."

- E - powiedział Banin. - Cóż to za banialuki. Jaki rozłam? Gdzie się podzieje przeciętny człowiek? Pagawa być może rzeczywiście patrzy na nowy obraz Surda jak cielec na malowane wrota, a Surd nie rozumie, po co na świecie istnieje Pagawa - w tym wypadku, istotnie, święta prawda - tu macie do czynienia z logikiem, a tu z emocjonistą. A kim ja jestem? Tak, jestem pracownikiem naukowym. Tak, trzy czwarte mojego czasu i trzy czwarte moich nerwów należą do nauki. Ale bez sztuki ja również nie potrafię! O, właśnie słyszę czyjś odtwarzacz i jest mi bardzo przyjemnie. Mógłbym się obejść bez odtwarzacza, ale z nim jest mi znacznie lepiej... Tak więc, pytam, jakże się rozerwę?

- I ja tak sobie pomyślałem - zgodził się Hans. - Ale on mówił, że, po pierwsze, geniusz naszych czasów - to przeciętny człowiek przyszłości, a po drugie, istnieje ponoć nie jeden przeciętny człowiek, lecz dwóch - emocjonistą i logik. Przynajmniej tak go rozumiałem.

- Zachwycasz mnie - rzekł Banin. - Moim zdaniem, kiedy się słucha Kamila, niczego nie można zrozumieć.

- A może to był kolejny paradoks Kamila? - powiedział Gorbowski w zadumie. - Kocha paradoksy. Zresztą, jak na paradoks, owo rozumowanie jest chyba zbyt uproszczone.

- Ależ Leonidzie Andriejewiczu - odparł Hans wesoło. - Proszę mimo wszystko uwzględnić, że nie

jest to rozumowanie Kamila, lecz moje. Opalałem się wczoraj na plaży, nagle na kamieniu pojawił się Kamil - zna pan jego manierę - i zaczął myśleć na głos, zwracając się głównie do morskich fal. A ja leżałem i słuchałem, a potem zasnąłem.

Wszyscy roześmiali się.

- Kamil tylko się wprawia - powiedział Gorbowski. - Mniej więcej wyobrażam sobie, po co mu ten rozłam. Prawdopodobnie interesuje go ewolucja człowieka przyszłości i tworzy modele. Syntezę logików i emocjonalistów widzi zapewne jako nowego człowieka, który już nie będzie człowiekiem.

Alpa westchnął i schował fajkę.

- Problemy, problemy... - rzekł. - Sprzeczności, synteza, tyły, front... A czy zauważyliście, kto tutaj siedzi? I pan, i pan, i on, i ja... Pechowcy. Wyrzutki nauki. Nauka jest tam - pobiera ulmotrony.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tej chwili głośnik zaryczał znowu:

- Uwaga, Tęcza! Mówi dyrektor. Kapitan gwiazdolotu "Tariel-2" Leonid Andriejewicz Gorbowski. Planista-energetyk planety Kaneko. Proszę natychmiast stawić się u mnie.

Z samochodów od razu wyskoczyli kierowcy. Na ich twarzach malowała się nieopisana satysfakcja. Wszyscy przyglądali się fałszywym nawigatorom. Banin, wtulając głowę w ramiona, rozłożył ręce. Hans krzyknął wesoło: "To nie do mnie, ja jestem nawigatorem!" Alpa zaczął postękiwać i zakrył twarz dłonią. Gorbowski podniósł się pospiesznie:

- Na mnie czas - powiedział. - Bardzo nie chce mi się odchodzić. Nie zdążyłem się przecież wypowiedzieć. Ale w skrócie mój punkt widzenia wygląda tak: nie trzeba się martwić i załamywać rąk. Życie jest piękne. Właśnie dlatego, że nie ma w nim końca sprzecznościom i nowym zakrętom. A co się tyczy nieuniknionych nieprzyjemności, to bardzo lubię Kuprina i u niego jest pewien bohater, człowiek, który w końcu rozpija się i jest nieszczęśliwy. Pamiętam słowo w słowo, co on tam mówi. - Odkaszlnął. - "Jeśli wpadnę pod pociąg, który przetnie mi brzuch, a moje wnętrzności miesza się z piaskiem i nawiną na koła, i jeśli w tym ostatnim momencie ktoś mnie zapyta: I co, czy nawet teraz życie jest piękne? odpowiem z pełnym wdzięczności zachwytem: Ach, jakże jest piękne!" - Gorbowski uśmiechnął się zmieszany i wepchnął odtwarzacz do kieszeni. - Zostało to powiedziane trzy wieki temu, kiedy ludzkość chodziła jeszcze na czworakach. Przestańmy się skarżyć!... A klimatyzator wam zostawię - tu jest bardzo gorąco.

## Rozdział 5

Matwiej nie był sam. Na jego stole z podłożonymi pod siebie rękoma, majtając nogami, siedział mały, czarnowłosy człowieczek, energiczny, podobny do ósmoklasisty. Był to Etienne Lamondois, najtęższa głowa współczesnej fizyki zerowej, “szybki fizyk”, jak go nazywali koledzy.

- Czy można? - spytał Gorbowski.

- A otóż i on - powiedział Matwiej. - Znacie się?

Lamondois momentalnie zeskoczył ze stołu, podszedł bardzo blisko do Gorbowskiego i patrząc na niego z dołu, mocno uściśnął mu rękę.

- Miło mi pana widzieć, kapitanie - powiedział z ujmującym uśmiechem. - Akurat o panu mówiliśmy.

Gorbowski cofnął się i usiadł w fotelu.

- A my o panu - odpowiedział.

Etienne skłonił się energicznie i wrócił na stół do dyrektora.

- A więc, kontynuuj. Charybdy wytrwają do końca. Trzeba oddać sprawiedliwość Malajewowi: stworzył świetne maszyny. Ciekawe, że północna Fala jest całkiem nowego typu. Te chłopaczki już ją zdążyły nazwać. Fala P, jak wam się podoba? Od imienia Szoty. Do diabła, jestem zmuszony się przyznać, że rwę sobie włosy z głowy! Jak mogłem nie zwrócić uwagi na to wspaniałe zjawisko? Będę zmuszony przeprosić Arystotelesa, Okazało się, że miał rację. On i Kamil. Chylę czoło przed Kamilem.

Chyliłem przed nim czoło już przedtem, ale teraz, zdaje się, rozumiem, co miał na myśli. A propos, wie pan, że Kamil zginął?

Matwiej drgnął.

- Znowu?

- Ach, to pan już wie! Dziwna historia. Zginął i zmartwychwstał. Słyszałem o takich rzeczach. Na świecie nie ma nic nowego. Nawiasem mówiąc, wierzy pan, że Sklarow mógł go rzucić Fali na pożarcie? Ja - nie. Tak więc północna Fala dotarła do pasa stacji kontrolnych. Pierwszą, Falę Liu, rozproszono, natomiast druga, Fala P, odpycha Charybdy z prędkością do dwudziestu kilometrów na godzinę. Z tego wynika, że północne zasiewy jednak przepadną. Trzeba było wysłać biologów helikopterami...

- Wiem - powiedział dyrektor. - Skarżyli się.

- Cóż robić! Wprawdzie rozumiem ich zachowanie, ale nie pochwalam. Na oceanie ruch Fali został wstrzymany. Można tam obserwować zjawisko, za które Liu oddałby pół życia: odkształcenie Fali pierścieniowej. Odkształcenie spełnia równanie kappa, a jeśli Fala stanowi pole kappa, to staje się od razu jasne wszystko, nad czym głowił się nasz biedny Malajew: i D-przenikliwość, i telegenność fontann, i “wtórne widma”... Do diabła! Przez te trzy godziny dowiedzieliśmy się o Fali więcej niż przez dziesięć lat! Matwieju, weź pod uwagę: jak tylko wszystko się skończy, będzie nam potrzebny U-rejestrator, może nawet dwa. Możesz uważać, że już złożyłem zamówienie. Zwykle komputery nie pomogą. Tylko algorytmy Liu, tylko logika Liu.

- Dobra, dobra - powiedział Matwiej. - A co na południu?

- Na południu - ocean. O południe możesz być spokojny. Tam Fala doszła do Wybrzeża Puszkina, spaliła Archipelag Południowy i zatrzymała się. Odnoszę wrażenie, że dalej nie pójdzie, więc bardzo szkoda, iż obserwatorzy zmykali stamtąd w takim pośpiechu, porzucili całą automatykę i o południowej Fali nic prawie nie wiemy. - Z irytacją strzelił palcami. - Rozumiem, interesuje cię coś całkiem innego. Ale cóż robić, Matwieju! Starajmy się patrzeć na rzeczy realistycznie. Tęcza jest planetą fizyków. To nasze laboratorium. Stacje energetyczne uległy zagładzie i nic się na to nie poradzi. Kiedy zakończy się ten eksperyment, odbudujemy je razem na nowo. Przecież będziemy potrzebowali dużo energii! A co się tyczy ferm rybnych, to niech je diabli wezmą... Zerowcy są moralnie przygotowani do rezygnacji z zupy kalmarowej. Nie gniewaj się na nas, Matwieju.

- Nie gniewam się - odpowiedział dyrektor z ciężkim westchnieniem. - Masz w sobie coś z małego dziecka, Etienne. Jak dzieciak, bawiąc się, niszczysz wszystko, co jest tak drogie dorosłym. - Znowu westchnął. - Postaraj się chociaż uchronić południowe zasiewy. Bardzo bym nie chciał tracić niezależności.

Lamondois spojrział na zegarek, skinął głową i nie mówiąc ani słowa, wyszedł. Dyrektor popatrzył na Gorbowskiego.

- Jak ci się to podoba, Leonidzie? - zapytał z niewesołym uśmiechem. - Tak, przyjacielu. Biedna Postyszewa! To anioł w porównaniu z tymi wandalami. Kiedy pomyślę, że do wszystkich moich zgryzot dołączają się jeszcze kłopoty związane z odbudową systemu zaopatrzenia i asenizacji, włosy stają mi dęba. - Szarpnęła parę razy wąs. - Z drugiej strony Lamondois ma rację: Tęcza rzeczywiście jest planetą fizyków. Ale co powie Kaneko, co powie Giną... - Pokręcił głową i wzruszył ramionami. - Tak! Kaneko! A gdzie jest Kaneko?

- Matwieju - odezwał się Gorbowski - mógłbym się dowiedzieć, po co mnie wzywałeś?

Dyrektor, odwrócony do niego plecami, szamotał się z klawiszami selektora.

- Wygodnie ci? - zapytał.

- Tak - odpowiedział Gorbowski. Już leżał.

- Napijesz się czegoś?

- Chętnie.

- Weź sobie z lodówki. A może chciałbyś coś zjeść?

- Teraz nie, ale za jakiś czas - i owszem.

- Wtedy pogadamy. A na razie nie przeszkadzaj mi w pracy.

Gorbowski wyjął z lodówki soki i szklankę, zrobił sobie koktajl i znowu położył się w fotelu, odchyliwszy oparcie. Fotel był miękki, chłodny, koktajl zaś lodowaty i smaczny. Leżał pociągając ze szklanki, z przymkniętymi z zadowolenia oczami i słuchał, jak dyrektor rozmawia z Kaneko. Kaneko powiedział, że nie może się wydostać - nie chcą go wypuścić. Dyrektor zapytał: "Kto nie wypuszcza?" - "Tu jest czterdzieści osób", odparł Kaneko, "i żadna z nich mnie nie wypuszcza." - "Zaraz przyślę ci Gabę," powiedział dyrektor. Kaneko zaoponował, mówiąc, że u niego i tak jest wystarczająco gwarno. Wtedy Matwiej opowiedział o Fali i przypomniał przeproszającym tonem, że Kaneko, mimo różnych innych obowiązków, jest szefem SBI na Tęczy. Kaneko odparł z gniewem, że on tym nie pamięta, i Gorbowski bardzo mu współczuł.

Szefowie Służby Bezpieczeństwa Indywidualnego zawsze wywoływali w nim litość i współczucie.

Na każdą zagospodarowaną, a często i na nie w pełni jeszcze zagospodarowaną planetę wcześniej czy później zaczynali przybywać outsiderzy - turyści, urlopowicze (całymi rodzinami), wolni artyści szukający nowych wrażeń, pechowcy łaknący samotności lub co trudniejszej pracy, rozmaitego autoramentu dyletanci, myśliwi-sportowcy wszelka inna brać, nie figurująca w żadnych wykazach, nikomu na planecie nie znana, z nikim nie związana i przeważnie stroniąca od jakichkolwiek kontaktów. Szef SBI obowiązany był osobiście zapoznawać się z każdym z outsiderów, instruować ich i pilnować, aby każdy codziennie dawał znać o sobie sygnałem do maszyny rejestrującej. Na złowrogich planetach typu Jajły czy Pandory, gdzie nowicjusz co krok jest narażony na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa, drużyny SBI uratowały niejedno ludzkie życie. Ale na płaskiej jak deska Tęczy, z jej zrównoważonym klimatem, ubogim światem zwierzęcym i łaskawym, zawsze spokojnym morzem SBI niechybnie powinna była przekształcić się i, sądząc po wszystkim, rzeczywiście się przekształciła w czczego formalistę. A uprzejmy, taktowny Kaneko, czując dwuznaczność swej sytuacji, zajmował się, oczywiście, nie instruktażem literatów przybyłych, aby popracować w samotności, i nie śledzeniem wymyślnych tras zakochanych i młodożeńców, lecz swoim planowaniem albo jakąś inną prawdziwą pracą.

- Ilu outsiderów znajduje się w tej chwili na Tęczy? - spytał Matwiej.

- Sześćdziesiąt osób. Może trochę więcej.

- Kaneko, przyjacielu, wszystkich outsiderów trzeba natychmiast odszukać i przetransportować do Stolicy.

- Niezupełnie rozumiem dlaczego - grzecznie zauważył Kaneko. - W zagrożonych rejonach outsiderów praktycznie nigdy nie ma. Tam jest tylko nagi step, niemiłe zapachy, upał.

- Bardzo proszę, nie sprzecyjamy się - nalegał Matwiej. - Fala to jednak Fala. W takiej chwili lepiej, żeby wszyscy niezainteresowani byli pod ręką. Zaraz zjawi się tu Gaba ze swymi próżniakami i podeślę go tobie. Zajmij się organizacją.

Gorbowski odłożył słomkę i łyknął wprost ze szklanki. Kamil zginął, pomyślał. A zginąwszy zmartwychwstał. Mnie też się przytrafiły takie rzeczy. Widocznie ta sławetna Fala wywołała porządną panikę. Podczas paniki zawsze ktoś ginie, a potem dziwisz się bardzo, spotykając takiego w kawiarni, milion kilometrów od miejsca wypadku. Fizjonomię ma podrapaną, głos ochrypły i dziarski, słucha kawałów, pałaszuje szóstą porcję marynowanych krewetek z seczuańską kapustą.

- Matwieju - zawołał. - A gdzie jest teraz Kamil?

- A prawda, jeszcze nie wiesz - powiedział dyrektor. Podeszedł do stolika i zaczął mieszać sobie koktajl z soku granatów i syropu ananasowego. - Rozmawiał ze mną Malajew z Greenfield. Kamil jakimś sposobem znalazł się na wysuniętym punkcie posterunku, zabawił tam zbyt długo i dostał się pod Falę. Jakaś zagmatwana sprawa. Ten Sklarow- obserwator - przyleciał autolotem Kamila, wpadł w histerię i oświadczył, że Kamila zmiażdżyło, a dziesięć minut później Kamil nawiązuje łączność z Greenfield, jak zwykle wygłasza prorocstwo i znowu znika. No powiedz, czy po takich wyskokach można go traktować poważnie?

- Tak, Kamil to wielki oryginał. A kim jest Sklarow?

- Obserwatorem Malajewa, przecież ci mówię. Nadzwyczaj gorliwy, miły chłopak, bardzo zresztą ograniczony... Przypuszczać, że zostawił Kamila - to absurd. Malajewowi wiecznie przychodzą do głowy jakieś dziwne myśli...

- Nie obrażaj Malajewa - zaproponował Gorbowski. - Po prostu jest logiczny. Zresztą nie mówmy o tym. Mów lepiej o Fali.

- Mówmy - powiedział z roztargnieniem dyrektor.

- Czy to bardzo niebezpieczne?

- Co?

- Fala. Czy jest niebezpieczna?

Matwiej zasapał.

- Tak w ogóle Fala jest śmiertelnie niebezpieczna - powiedział. - Nieszczęście polega na tym, że fizycy nigdy wcześniej nie wiedzą, jak się będzie zachowywać. Może się na przykład w dowolnym czasie rozproszyc. - Zamilkł na chwilę. - A może się i nie rozproszyc.

- A czy można się przed nią ukryć?

- Nie słyszałem, żeby ktokolwiek próbował. Powiadają, że to dosyć straszny widok.

- Czyżbyś sam nie widział?

Wąsy Matwieja groźnie nastroszyły się.

- Mogłeś chyba zauważyć - powiedział - że mało mam czasu na włączenie się po planecie. Stale na kogoś czekam, kogoś uciszam albo ktoś czeka na mnie... Zapewniam cię, gdybym miał wolny czas...

Gorbowski ostrożniutko zasięgnął informacji:

- Matwieju, pewnie jestem ci potrzebny do szukania outsiderów, co?

Dyrektor popatrzył na niego gniewnie.

- Zachciało ci się jeść?

- Nnie.

Matwiej przeszedł się po gabinecie.

- Powiem ci, co mnie tak denerwuje. Po pierwsze, Kamil przepowiadał, że ten eksperyment zakończy się nieszczęśliwie. Tamci nie zwrócili na to najmniejszej uwagi. Ja wobec tego również. A teraz Lamondois przyznaje, że Kamil miał rację...

Drzwi otworzyły się na oścież i do gabinetu, błyskając wspaniałymi zębami, wtargnął młody, potężny Murzyn w krótkich białych spodenkach, w białej kurtce i w białych pantoflach na bose nogi.

- Przybywam - oświadczył machnąwszy olbrzymimi ramionami.

- Czego żądasz, o panie mój, dyrektorze? Chcesz, zniszczę miasto lub zbuduję pałac. Zamierzałem, odgadując twe pragnienia, porwać dla ciebie najpiękniejszą z niewiast, zwaną Giną Pickbridge, lecz jej czary okazały się silniejsze, więc została w Rybackim Osiedlu, skąd śle ci niepochlebne pozdrowienia.

- Ja absolutnie nie mam z tym nic wspólnego - stwierdził dyrektor.

- Niech śle swe pozdrowienia Lamondois.

- Zaiste, niech śle! - zawołał Murzyn.

- Gaba - zapytał dyrektor - słyszałeś o Fali?

- To ma być Fala? - zachnął się Murzyn. - Kiedy ja wejść do kabiny startowej i Lamondois naciśnie dźwignię, to dopiero będzie Fala! A teraz - jakieś zmarszczki, bzdura, dziecinne igraszki! Ale słyszę i jestem posłuszny.

- Jesteś z brygadą? - pytał dyrektor cierpliwie. - Gaba milcząc wskazał na okno. - Ruszaj z nimi na

kosmodrom, oddaję was wszystkich do dyspozycji Kaneko.

- Ciałem i duchem - powiedział Gaba.

W tej właśnie chwili potężne gardła za oknem ryknęły przy akompaniamencie bandzo na motyw psalmu "Pod murami Jerycho":

*Na wesolej Tęczy mej,  
Tęczy mej, Tęczy mej...*

Gaba jednym susem znalazł się przy oknie i ryknął:

- Cicho!

Piosenka ucichła. Jakiś czysty głos zaczął żałośnie zawodzić w wysokiej tonacji:

*Dig my grave both long and narrow,  
make my coffin neat and strong!... \**

[\* Wykopcie mi grób długi i wąski Trumnę mi zróbcie przytulną i mocną (ludowa pieśń amerykańska)]

- Pójdę już - z niejakim zmieszaniem mruknął Gaba i potężnym susem przesadził parapet.

- Dzieciaki... - mruknął dyrektor uśmiechając się pod wąsem. Opuścił ramę okna. - Zastały się kości niemowlakom. Nie wiem, co zrobię bez nich.

Nadal stał przy oknie, a Gorbowski spod przymkniętych powiek patrzył na jego plecy. Plecy były masywne, lecz nie wiadomo dlaczego tak zgarbione i nieszczęśliwe, że Gorbowski zaniepokoił się. Matwiej, astronauta i desantowiec, po prostu nie mógł mieć takich pleców.

- Matwieju - zapytał Gorbowski. - Naprawdę jestem ci potrzebny?

- Tak - odpowiedział dyrektor. - Bardzo. - Wciąż patrzył przez okno.

- Matwieju - poprosił Gorbowski. - Opowiedz mi, o co chodzi.

- Smutek, przeczucia, zmartwienia - zadeklamował Matwiej i umilkł.

Gorbowski powiercił się trochę, szukając wygodniejszej pozycji, włączył cichutko odtwarzacz i równie cichutko powiedział:

- Dobrze, bracie. Posiedzę tu po prostu z tobą.

- Uhm. Bądź tak dobry i posiedź.

Leniwie zawodziła gitara, za oknem płonęło gorące, puste niebo, a w gabinecie panował chłód i półmrok.

- Czekać. Będziemy czekać - głośno powiedział dyrektor i wrócił na swój fotel.

Gorbowski milczał chwilę.

- Tak! - odezwał się. - Jakież jestem niegrzeczny! Zupełnie zapomniałem. Co z Żenią?

- Dziękuję, dobrze.

- Nie wróciła?

- Nie. Jednak nie wróciła. Wydaje mi się, że teraz nawet nie chce o tym myśleć.

- Ciagle Aloszka?

- Oczywiście. Zadziwiające, jakie to okazało się dla niej ważne.

- A pamiętasz, jak się zaklinała: "Niech no się tylko urodzi!..."

- Wszystko pamiętam. Pamiętam rzeczy, o których nie wiesz. Z początku strasznie się z nim męczyła. Skarżyła się. "Nie", mówiła. "Nie mam w sobie instynktu macierzyńskiego. Potwór jestem. Drewno." A potem coś się zmieniło. Nawet nie zauważyłem jak. Fakt, że z niego jest fajny prosiaczek. Niezwykle wesoły, a poza tym straszny mądrała. Spacerowałem z nim kiedyś wieczorem w parku. Nagle mnie pyta: "Tato, co tu tak przysiada?" Z początku nie zrozumiałem. Potem... Rozumiesz, wiatr, kołysze się latarnia i cienie na murze. "Przysiada". Nadzwyczaj precyzyjne określenie, prawda?

- Prawda - przyznał Gorbowski. - Będzie z niego pisarz. Tylko mimo wszystko dobrze by było oddać go do internatu.

Matwiej machnął ręką.

- O tym nie może być nawet mowy - powiedział. - Nie odda. I wiesz, z początku kłóciłem się, a potem pomyślałem! Po co? Po co odbierać człowiekowi sens życia. To jest sens jej życia. Dla mnie to niedostępne - przyznał się - lecz wierzę, ponieważ widzę. Może problem w tym, że jestem od niej o wiele starszy. I Aloszka pojawił się dla mnie zbyt późno. Nieraz myślę, jak byłbym samotny, gdybym nie wiedział, że codziennie mogę go widywać. Żenka mówi, że kocham nie jak ojciec, lecz jak dziadek. No cóż, bardzo możliwe. Rozumiesz, o czym mówię?

- Rozumiem. Ale nie znam tego. Ja, Matwieju, nigdy nie byłem samotny.

- Tak - zgodził się Matwiej. - Jak długo cię znam, bezustannie kręca się wokół ciebie ludzie, którym jesteś szalenie potrzebny. Masz bardzo dobry charakter, wszyscy cię lubią.

- Nie - powiedział Gorbowski. - To ja wszystkich lubię. Przeżyłem niemal setkę lat i wyobraź sobie, Matwieju, nie spotkałem ani jednego nieprzyjemnego człowieka.

- Bogacz z ciebie - rzekł Matwiej.

- A propos - przypomniał sobie Gorbowski. - Ukazała się w Moskwie książka. Nie ma nic smutniejszego od twojej radości Siergieja Wołkwoja. Kolejna bomba emocjonalistów. Gienkin wybuchnął w odpowiedzi zjadliwym artykułem. Bardzo dowcipnie, ale nieprzekonywająco: literatura, pisał, powinna być taka, żeby przyjemnie ją było rozkładać na czynniki pierwsze. Emocjoliści śmiali się jadowicie. Pewno kłóca się do tej pory. Nigdy tego nie zrozumiem. Dlaczego oni nie mogą odnosić się do siebie tolerancyjnie?

- To bardzo proste - odpowiedział Matwiej. - Każdy sobie wyobraża, że tworzy historię.

- Ależ on naprawdę tworzy historię! - sprzeciwił się Gorbowski. - Każdy tworzy historię! Przecież my, przeciętni ludzie, stale tak czy inaczej znajdujemy się pod ich wpływem.

- Nie chce mi się dyskutować na ten temat - powiedział Matwiej. - Nie mam kiedy o tym myśleć, Leonidzie. Ja pod ich wpływem nie jestem.

- Nie sprzecajmy się - rzucił niedbale Gorbowski. - Napijmy się lepiej soku. Jeśli chcesz, mogę nawet wypić trochę miejscowego wina. Ale tylko jeśli to ci rzeczywiście pomoże.

- Mnie teraz tylko jedno może pomóc. Powinien tu przyjść Lamondois i powiedzieć z rozczarowaniem, że Fala się rozproszyła.

Jakiś czas w milczeniu popijali sok, spoglądając na siebie znad szklaneczek.



- Coś dawno nikt do ciebie nie dzwonił - zauważył Gorbowski. - To nawet dziwne.

- Fala - odpowiedział Matwiej. - Wszyscy są zajęci. Waśnie poszły w niepamięć. Wszyscy zmykają.

Drzwi w głębi gabinetu otworzyły się i na progu stanął Etienne Lamondois. Twarz miał zamyśloną i poruszał się niezwykle powoli i miarowo. Dyrektor i Gorbowski w milczeniu patrzyli, jak idzie, i Gorbowski poczuł, że coś go nieprzyjemnie ściska w dołku. Jeszcze nie miał pojęcia, co się dzieje, czy coś się stało, ale już wiedział, że skończyło się wygodne leżenie. Wyłączył odtwarzacz.

Lamondois dotarł do stołu i zatrzymał się.

- Chyba was zmartwię - powiedział powoli i dobitnie. - Charybdy nie wytrzymały. - Matwiej wtulił głowę w ramiona. - Front przerwany na północy i na południu. Fala rozprzestrzenia się z przyspieszeniem 10 m/s<sup>2</sup>. Łączność ze stacjami kontrolnymi zerwana. Zdążyłem wydać rozkaz o ewakuacji cennej aparatury i archiwów. - Zwrócił się do Gorbowskiego. - Kapitanie, cała nadzieja w tobie. Jaką macie ładowność?

Gorbowski, nie odpowiadając, patrzył na Matwieja. Oczy dyrektora były zamknięte. Dłońmi bezmyślnie gładził powierzchnię stołu.

- Ładowność? - powtórzył Gorbowski i podszedł do dyrektorskiego pulpitu, nachylił się do mikrofonu powszechnej łączności i powiedział: - Uwaga, Tęcza! Nawigator Walkenstein i inżynier pokładowy Dickson proszeni są o natychmiastowe stawienie się na pokładzie gwiazdolotu.

Potem wrócił do Matwieja i położył mu rękę na ramieniu.

- To nic strasznego, bracie - powiedział. - Zmieścimy się. Wydaj rozkaz ewakuacji Dziecięcej Wioski. Ja zajmę się żłobkiem. - Obejrzał się na Lamondois. - A ładowność mam niewielką, Etienne - dodał.

Oczy Etienne'a Lamondois były czarne i spokojne, tak spokojne jak oczy człowieka, który wie, że zawsze ma rację.

## Rozdział 6

Robert widział, jak to się wszystko stało.

Siedział w kucki na płaskim dachu wieży kontroli dalekiego zasięgu i ostrożnie odłączał anteny odbiorcze. Było ich czterdzieści osiem - cienkich, ciężkich prętów wmontowanych w śliską ramę paraboliczną. Każdy z nich trzeba było dokładnie wykręcić i, zachowując wszelkie środki ostrożności, umieścić w specjalnym futerale. Bardzo się spieszył i co chwila spoglądał przez ramię na północ.

Nad północnym widnokregiem stał wysoki, czarny mur. U szczytu, tam, gdzie mur sięgał tropopauzy, ciągnęła się oślepiająca świetlna krecha, a jeszcze wyżej, na pustym niebie, wybuchały i gasły bladoliliowe błyskawice wyładowań. Fala nadciągała nieubłaganie, choć bardzo powoli. Trudno było uwierzyć, że hamuje ją rzadka tyraliera niezdatnych maszyn, które z daleka wydawały się bardzo małe. Było jakoś dziwnie cicho i upalnie, słońce wydawało się dziwnie jasne, jak przed burzą na Ziemi, kiedy wszystko zamiera w bezruchu i choć słońce jeszcze świeci na całego, pół nieba zakrywają już ciemnobłękitne, ciężkie chmury. W tej ciszy było coś dziwnie złowróżbnego, niezwykłego, prawie zaświatowego, ponieważ nadciągające Fale przeważnie rzucały przed siebie potężne huragany i ryk niezliczonych piorunów.

Tym razem było całkiem cicho. Do Roberta wyraźnie dochodziły zaaferowane głosy z placu na dole, gdzie do ciężkiego helikoptera ładowano na kupę szczególnie cenną aparaturę, dzienniki obserwacji, zapisy przyrządów. Słyszał, jak Pagawa gardłowo wymyśla komuś za przedwczesne zdjęcie analizatorów, a Malajew bez pośpiechu omawia z Patrykiem czysto teoretyczne zagadnienie prawdopodobieństwa rozmieszczenia ładunków w barierze energetycznej nad Falą. Cała ludność Greenfield zebrała się teraz w wieży pod stopami Roberta i na placu. Zbuntowanych biologów i dwie partie turystów, które zatrzymały się poprzedniego dnia w osiedlu na nocleg, wysłano za strefę zasiewów. Biologów odtransportowano pterokarem wraz z laborantami, którym Pagawa zlecił organizację nowego punktu obserwacyjnego, a po turystów przybył specjalny aerobus ze Stolicy. I biolodzy, i turyści byli bardzo niezadowoleni; gdy odlecieli, w Greenfield pozostali sami ukontentowani.

Robert pracował niemal machinalnie i myślał o najprzeróżniejszych rzeczach. Bardzo boli ramię. Dziwne: ramieniem nigdzie o nic nie uderzyłem. Brzuch piecze, no, brzuch to jasne - kiedy potknąłem się o ulmotron. Ciekawe, jak teraz wygląda ten ulmotron. I jak wygląda mój pterokar. I jak wygląda... Ciekawe, co tu będzie za trzy godziny. Szkoda klombów... Dzieciaki przez całe lato się męczyły, wymyślały najbardziej fantastyczne zestawy barw. I wtedy właśnie poznaliśmy się z Tanią. "Taniu", zawołał cichutko. "Co u ciebie?" Obliczył w przybliżeniu odległość od czoła Fali do Dziecięcej Wioski. Bezpieczna, pomyślał z satysfakcją. Oni tam z pewnością nawet nie wiedzą, że Fala, że zbuntowali się biolodzy, że o mały włos nie zginąłem, że Kamil...

Wyprostował się, wytarł twarz wierzchem dłoni i popatrzył na południe, na bezkresne, zielone łąny zbóż. Usiłował myśleć o gigantycznych stadach mięsnych krów, przepędzanych teraz w głąb kontynentu; o tym, ile pracy pochłonie odbudowa Greenfield, kiedy rozproszy się Fala; i jak nieprzyjemnie będzie po dwuletniej obfitości znowu powrócić do syntetycznego jedzenia, do sztucznych befsztyków, do gruszek z posmakiem pasty do zębów, do chlorellowych "zup wiejskich", do quasibiotycznych baranich kotletów i do

innych cudów syntezy, niech je diabli porwą... Myślał o czym popadnie, ale to nie pomagało.

Nie sposób umknąć przed zdumionymi oczami Pagawy, przed lodowatym tonem Malajewa, przed przesadnie współczującym zachowaniem Patryka. Najstraszniejsze, że nic nie można zrobić. Że z boku sprawa wygląda, oglądnie mówiąc, dziwnie. Ale po co właściwie wyrażać się łagodnie? Sprawa jest po prostu jednoznaczna. Wystraszony, poharatany obserwator przylatuje cudzym autolotem i informuje o śmierci kolegi. A kolega, okazuje się, był żywy. Kolega, okazuje się, zginął później, kiedy wystraszony obserwator zmykał jego autolotem. Ale przecież został zmiażdżony na śmierć, po raz dziesiąty powtarzał sobie Robert. A może to było po prostu przywidzenie. Może majaczyłem ze strachu? Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym. Ale przecież i o tym, co się zdarzyło - jeżeli zdarzyło się naprawdę - również nigdy nie słyszałem. A niech tam, pomyślał z rozpaczą. Niech nie wierzą. Tania uwierzy. Żeby tylko uwierzyła! A im wszystko jedno, od razu zapomnieli o Kamilu. Będą go sobie przypominać wyłącznie wtedy, kiedy zobaczą mnie. I będą patrzeć na mnie swymi oczami teoretyków i analizować, i zestawiać, i rozważać. I konstruować najmniej sprzeczne hipotezy, i tylko prawdy nigdy się nie dowiedzą... Ja również nigdy nie dowiem się prawdy.

Wykręcił ostatnią antenę, umieścił ją w futerale, następnie wrzucił wszystkie futerały do płaskiego, tekturowego pudła i wtedy z pomocy dobiegło dźwięczne klaśnięcie, jakby w olbrzymiej pustej sali pękł balonik. Robert odwrócił się i zobaczył, jak na czarnoszarym tle Fali wznosi się w górę długa, biała pochodnia. To płonęła Charybda. Natychmiast umilkły głosy na dole, zawył i zamarł pracujący na jałowym biegu silnik helikoptera. Z pewnością wszyscy nasłuchiwali i patrzyli na północ. Robert nie zdążył jeszcze zrozumieć, co zaszło, kiedy wszystko zatrzęsło się, rozbrzęczało i spod wieży, przygniatając ostatnie ocalałe palmy, wypełzła zapasowa Charybda zadzierając w biegu tubę pochłaniacza. Na otwartej przestrzeni zawyła ogłuszająco i spowita obłokiem rudego pyłu, pojechała na północ wypełnić lukę.

Sprawa była dość zwykła: jedna z charybd nie zdążyła odprowadzić do bazaltu nadmiaru energii z kondensatorów i Robert już schylił się po tekturowe pudło, gdy u podstawy czarnego muru coś jaskrawo wybuchło, trysnął wachlarz różnobarwnych płomieni i jeszcze jeden ship białego dymu, pęczniejąc i gęstniejąc w oczach, wznosił się ku niebu. Rozległo się nowe klaśnięcie. Z dołu dobiegł zbiorowy okrzyk i Robert od razu zobaczył daleko na wschodzie jeszcze kilka pochodni. Charybdy wybuchały jedna po drugiej i wkrótce tyśiąckilometrowy mur Fali, przypominający teraz tablicę szkolną zagryzmołoną kredą, zachwiał się i popęzł naprzód, wyrzucając przed siebie w step czarne, nabrzmiewające kleksy. Robert miał tak wyschnięte gardło, że z trudem przełknął ślinę, chwycił pudło i zbiegł po schodkach.

Na korytarzach miotali się ludzie. Przebiegła wystraszona Zinoczka, przyciskając do piersi paczkę pudełek z taśmami. Hassan Ali-Zadeh i Karl Hoffman z nadnaturalną chyżością wlekli do wyjścia masywny sarkofag laboratoryjnego chemostazera - jakby niósł ich wiatr. Ktoś wołał: "Chodźcie tutaj, sam nie dam rady! Hassanie!..." W westybulu brzęknęło rozbite szkło. Parsknęły silniki na placu. W dyspozytorni, depcząc po rozrzuconych mapach i papierach, skakał przed ekranem Pagawa i niecierpliwie krzyczał: "Dlaczego nie słuchasz? Charybdy płoną! Mówię ci przecież, palą się charybdy! Fala ruszyła! Nic nie słyszę, rozumiesz?!... Etienne! Jeśli zrozumiałeś, kiwnij głową!..."

Robert, krzywiąc się z bólu, załadował sobie pudło na ramię i zaczął schodzić do westybulu. Za nim, głośno dysząc, ktoś dudnił po stopniach. Przedpokój był usiany papierem pakowym i szczątkami jakiegoś

aparatu. Drzwi z nietłukącego się szkła zostały rozłupane. Robert bokiem precyzyjnie się na ganek i zatrzymał się. Zobaczył, jak jeden po drugim odlatują w niebo wyładowane po brzegi pterokary. Malajew, milczący, z kamienną twarzą, wpychał do ostatniego pterokaru dziewczęta-laborantki. Potem ujrzał jak Hassan i Karl, z otwartymi z wysiłku ustami, usiłują przepchnąć swój sarkofag przez drzwi helikoptera, a ktoś z wewnątrz stara się im pomóc i za każdym razem sarkofag przygniata mu palce. Dostrzegł Patryka, spokojnego, sennego Patryka opartego plecami o tylny reflektor helikoptera; wyglądał na skupionego i zamyślonego. A gdy odwrócił głowę, zobaczył niemal nad sobą czarną jak węgiel ścianę Fali, która zakrywała niebo aksamitną kurtyną.

- Przestańcie ładować! - wrzasnął mu nad uchem Pagawa. - Opamiętajcie się! Natychmiast rzućcie tę trumnę!

Chemostazer z ciężkim brzęknięciem runął na beton.

- Wyrzućcie wszystko! - krzyczał Pagawa zbiegając z ganku. - Wszyscy do helikoptera, natychmiast! Nic nie widzicie? Do kogo mówię, Sklarow! Patryku, zasnęłeś?!

Robert nie ruszył się z miejsca. Patryk również. W tym czasie Malajew, napierając całym ciałem na drzwi pterokaru, zatrzasnął je i zamachał rękami. Pterokar rozpostarł skrzydła, niezdarnie podskoczył i przechylając się na bok, odleciał za dachy. Z helikoptera sypały się skrzynie. Ktoś lamentował płaczącym głosem: "Nie dam, Szoto Pietrowiczu! Tego im nie dam..." - "Dasz, serdeńko!" ryczał Pagawa. "Jeszcze jak dasz!" Do Pagawy podbiegł Malajew, krzycząc coś i pokazując na niebo. Robert uniósł wzrok. Mały helikopter naprowadzający, naszpikowany jak jeź antenami, z przeraźliwym wyciem przegrzanego silnika przeleciał nad placem i, szybko malejąc, pomknął na południe. Pagawa wznosił nad głową zaciśnięte pięści:

- Dokąd?! - ryknął. - Wracaj! Wracaj, *szeni deda!* Dosyć tej paniki! Zatrzymać go!

Przez cały ten czas Robert stał na ganku uginając się pod ciężarem tekturowego pudła. Miał wrażenie, że znajduje się w kinie i biernie patrzy w ekran. Oto trwa rozładunek helikoptera. To znaczy po prostu wyrzuca się zeń wszystko, co się nawinie pod rękę. Helikopter rzeczywiście jest przeciążony - świadczy o tym osiadłe podwozie. Wokół helikoptera kłębi się tłum. Z początku krzykliwy, teraz milczący. Hassan ssie kostki palców - z pewnością zdarł z nich skórę. Patryk, zdaje się, zasnął na dobre. Znalazł sobie czas i, co najważniejsze, miejsce! Karl Hoffman, człowiek pedantyczny (takich właśnie nazywa się "wnikliwymi i ostrożnymi uczonymi"), chwyta wylatujące z helikoptera skrzynki i próbuje porządknie je układać. Pagawa niecierpliwie miota się przy helikopterze i ciągle spogląda to na Falę, to na wieżę kontroli. Wyraźnie nie chce mu się odlatywać i żałuje, że jest tu szefem. Malajew stoi na uboczu i również patrzy na Falę - nie odrywając od niej oczu - z zimną nienawiścią. A w cieniu domku, w którym mieszkał Patryk, stoi mój flyer. Ciekawe, kto go tu odprowadził i po co? Na flyer nikt nie zwraca uwagi, a zresztą nikomu nie jest potrzebny: pozostało z dziesięć osób, nie mniej. Śmigłowiec, dobry, potężny, klasy "czarny sęp", ale przy takim obciążeniu poleci z prędkością zmniejszoną do połowy. Robert postawił pudło na stopniu.

- Nie zdążymy - powiedział Malajew.

W jego głosie brzmiał taki smutek, taka gorczyz, że Robert nie posiadał się ze zdumienia. Ale wiedział już, że wszyscy zdążą. Podszedł do Malajewa.

- Mamy jeszcze zapasową charybdę - oświadczył. - Wystarczy wam kwadrans?

Malajew patrzył nań nie rozumiejąc.

- Są nawet dwie zapasowe charybdy - uściślił chłodno i nagle zrozumiał.

- Dobrze - odpowiedział Robert. - Nie zapomnijcie o Patryku. Jest z tamtej strony helikoptera.

Robert odwrócił się i pobiegł. Coś za nim wołano, ale nawet się nie obejrzał. Pędził co tchu, przeskakując porzucone aparaty, przez grządki z roślinami ozdobnymi, starannie przystrzyżone krzewy z pachnącymi, białymi kwiatami. Biegł na skraj osady. Na prawo wznosiła się nad dachami czarna, aksamitna, sięgająca zenitu ściana, a z lewej płonęło oślepiające, białe słońce. Robert minął ostatni dom i od razu natknął się na nieogarnioną rufę charybdy. Zobaczył strzępki zieleni, które utkwily w złączach gigantycznych gąsienic, poszarpane płatki jaskrawego kwiatka przyklepione do jednego z ogniw, odarty z kory pień młodej palmy tkwiący między kołami napinającymi i nie podnosząc oczu, parząc sobie dłonie o rozpalone na słońcu poręcze, wdrapał się na górę po wąskim trapie. Nadal nie podnosząc oczu zjechał na plecach do kabiny ręcznego sterowania, rozsiadł się w fotelu, opuścił stalową przesłonę przed twarz, a jego ręce zaczęły pracować prawie odruchowo, automatycznie. Prawa ręka sięgnęła do przodu i włączyła prąd, jednocześnie lewa wcisnęła sprzęgło przechodząc na sterowanie ręczne, a prawa już sięgała do tyłu szukając przycisku rozrusznika i kiedy wszystko wokół zahuczało, załomotało i zatrzęsło się, lewa ręka odruchowo, bez potrzeby uruchomiła klimatyzację. Następnie - już świadomie - Robert namacał dźwignię pochłaniacza energii, pociągnął ją do oporu ku sobie i dopiero wtedy zdecydował się popatrzeć przed siebie.

Tuż przed nim stała Fala. Prawdopodobnie ani jeden człowiek poza Liu nie znalazł się jeszcze nigdy tak blisko Fali. Była jednolicie czarna, bez najmniejszych prześwitów, i na jej tle wyraźnie rysował się step zalany słońcem aż po horyzont. Dostrzegał każde źdźbło trawy, każdy krzaczek. Widział nawet ryjówki, które oszołomione zamarły żółtymi słupkami obok swoich nerek.

Nad głową rozległo się suche, dzwoniące wycie - ruszył pochłaniacz. Charybda płynnie kołysała się w biegu. We wstecznym lusterku skakały w tumanach kurzu budynki osiedla. Helikoptera nie było widać. Jeszcze ze sto metrów, nie, jeszcze z pięćdziesiąt - i starczy. Spojrzał z ukosa w lewo i przywidziało mu się, że ściana Fali trochę się już wygięła. Zresztą ocena była bardzo trudna. A może nie zdążę, pomyślał nagle. Nie spuszczał oczu z białych słupów dymu unoszących się z za widnokregu. Dym rozpraszał się szybko i był teraz ledwie widoczny. Ciekawe, co mogło się palić w Charybdach.

Starczy, pomyślał naciskając hamulec. Bo nie zdążę uciec. Znowu popatrzył we wsteczne lusterko. Długo, och, jak długo marudzą, pomyślał. Step przed charybdą powoli ciemniał ogromnym trójkątem, w którego wierzchołku znajdował się pochłaniacz. Nagle ryjówki zaczęły niespokojnie skakać, jedna z nich jakieś dwadzieścia kroków przed charybdą przewróciła się z nienacką na grzbiet, konwulsyjnie machając łapkami.

- Zmykajcie, głuptasy! - powiedział na głos Robert. - Wy możecie...

I nagle zobaczył drugą charybdę. Stała pół kilometra dalej na wschód, chciwie zadzierając do góry czarny kielich pochłaniacza, i przed nią dokładnie tak samo, jeżąc się z nieznośnego zimna, ciemniała trawa.

Robert szalenie się ucieszył. Zuch, pomyślał. Mądrała. Śmiałek! Czyżby Malajew? Czemu nie? Przecież i on jest człowiekiem i nic co ludzkie nie jest mu obce... A może sam Pagawa? Ale Pagawy po prostu nie puszcza. Zwiążą, wpakują pod siedzenie i jeszcze nogami przycisną, żeby nie wierzgał. Nie, to naprawdę kawał zucha! Popchnął boczny właz, wysunął się nieco i zawołał:

- Hej, hej! Trzymaj się bracie! Razem z tobą i rok wytrwamy!...

Popatrzył na przyrządy i od razu zapomniał o wszystkim. Akumulatory były na wyczerpaniu: błyszcząca strzałka pod zakurzoną szybą opierała się o automatyczny wyłącznik. Szybko spojrzął we wsteczne lustro i trochę mu ulżyło na sercu. Na białym niebie nad dachami osiedla dostrzegł błyskawicznie zmniejszającą się ciemną plamkę. Jeszcze z dziesięć minut, pomyślał. Teraz było wyraźnie widać, że front Fali przed osiedlem wygiął się. Fala omijała strefę działania charybda od wschodu i zachodu.

Robert, zaciskając zęby, siedział przez chwilę nieruchomo. Maksymalnym wysiłkiem woli odpędzał od siebie wizję zwęglonego trupa w fotelu kierowcy. Dobrze by było nauczyć się wyłączania wyobraźni w razie potrzeby... Wzdrygnął się i zaczął otwierać wszystkie włazy, o jakich pamiętał. Ciężki okragły właz nad głową. Właz po lewej - otworzył go szeroko. Właz po prawej już jest uchylony - i ten otworzył szeroko. Drzwiczki za plecami, prowadzące do maszynowni... Nie, lepiej zamknąć - wybuch nastąpi z pewnością właśnie tam, w kondensatorze... Na zasuwę, na zasuwę... Akurat w tym momencie pobliska charybda wybuchła.

Robert usłyszał krótki, ogłuszający grzmot i szarpnęła nim fala rozpalonego powietrza. Wychyliwszy się z luku zobaczył, że na miejscu maszyny wznosi się olbrzymia chmura żółtego kurzu zasłaniająca i step, i niebo, i Falę, a w głębi chmury pobłyskiwało jaskrawo i podrygiwało jakieś światło. Coś zaszurgotało w powietrzu i dźwięcznie stuknęło w pancerz. Robert spojrzął na przyrządy i jednym susem wyskoczył przez lewy właz.

Upadł na brzuch w gorącą, suchą trawę, zerwał się i pochylony popędził ku osiedlu. Nie biegł tak jeszcze nigdy w życiu. Jego charybda wyleciała w powietrze, kiedy dotarł do ogródka przy pierwszym domu. Nawet się nie obejrzał, wtulił tylko głowę w ramiona, zgiął się jeszcze niżej i pobiegł jeszcze szybciej. "Wieczna ci chwała", powtarzał bez przerwy. "Wieczna ci chwała!..." Później zorientował się, że powtarza te słowa od chwili, gdy zobaczył zamiast tamtej charybdy przerażający ship kurzu.

Plac był pusty, gazony wydeptane, wszędzie poniewierała się niezwykle cenna, unikalna aparatura i pudełka z unikalnymi zapisami, a lekki wietrzyk leniwie kartkował unikalne dzienniki unikalnych obserwacji.

Ciężko dysząc, Robert przeciął plac i podbiegł do glidera. Silnik maszyny pracował, a na miejscu kierowcy ze swoją senną jak zwykle miną siedział Patryk.

- No, jesteś - powiedział Patryk serdecznie. Robert patrzył na niego oszołomiony. - Już myślałem, żeś tam został. Wsiadaj szybciej, trzeba brać nogi za pas. Ona ma teraz taką prędkość, że, hej...

Robert zwałił się na siedzenie obok niego.

- Zaczekaj - powiedział łapiąc oddech. - Może ten drugi... też ocalał? Kto to był? Malajew, Hoffman?...

Patryk niezdarnie ujął stery, wprowadzając glider na potrzebną do startu wolną przestrzeń.

- Ten drugi to byłem ja - powiedział ze skrępowaniem.

- Ty?

- Ja - powtórzył Patryk i zaśmiał się nerwowo. Glider wystartował. - Poczulem, że wylatuję w powietrze, wylazłem i uciekłem. Zdrowo łupnęło, co? Poturlało mnie do samego osiedla...

Osiedle powoli odwróciło się pod nimi i pomknęło do tyłu. A to ci zuch z tego Patryka, pomyślał Robert zaskoczony.

- A moja mocniej łupnęła - oświadczył Patryk. - Jak ci się wydaje, Rob, co?...
- Dokąd lecisz? - zapytał Robert.
- Do Zimnych Strumieni - odparł Patryk. - Tam będzie nowa baza.

## Rozdział 7

Robert popatrzył przez ramię. Niczego już nie było widać oprócz białawego nieba i zielonych pól. Dwa razy dziś od niej uciekałem, pomyślał. Nie da się uniknąć i trzeciego razu.

- Co teraz będzie? - spytał.

Patryk wyduł pulchne wargi.

- Kiepsko. Ma olbrzymi potencjał energetyczny.

- Czy próbowałeś obliczyć?

- Tak.

- No i co?

Patryk westchnął ciężko i nic nie odpowiedział. Robert, marszcząc brwi, patrzył wprost przed siebie. Potem włączył radiostację glidera i nastroił na Dziecięcą Wioskę. Kilka razy naciskał klawisz wezwania, ale Wioska milczała. Nie trzeba się niepokoić, myślał. Święto Lata i cała ta krzątana. Jakie to dziwne, jeszcze nic nie wiedzą. I dobrze, niech nie wiedzą. Będę wiedział tylko ja jeden. Zapytał ponownie:

- Dokąd lecimy?

- Przecież już pytałeś.

- Ach, rzeczywiście... Patryku, przyjacielu, musisz koniecznie lecieć do tych Strumieni?

- Oczywiście. A dokąd?

Robert usadowił się wygodniej w fotelu.

- Tak - powiedział. - Niepotrzebnie zostałeś.

- W jakim sensie "niepotrzebnie"?

- Możesz szybciej?

- Mogę...

- A jeszcze szybciej?

Patryk nie odpowiedział. Silnik bulgotał, zachłystując się powietrzem.

- Zawsze się spieszymy - mruknął Patryk. - Zawsze nas coś albo ktoś pogania. Szybciej, jeszcze szybciej... A jeszcze szybciej nie można? Można, odpowiadamy. Proszę bardzo! Nie ma czasu, żeby się rozejrzeć. Nie ma czasu, żeby pomyśleć. Nie ma czasu, żeby zorientować się - po co to i czy warto? A potem zjawia się Fala. I znowu się spieszymy.

- Zwiększ dopływ paliwa - powiedział Robert. Myślał o czymś zupełnie innym. - I kieruj bardziej na prawo.

Patryk zamilkł. W dole pod nimi przemykały zielone pola dojrzewających zbóż i rzadko rozrzucone białe domki stacji synoptycznych. Widać było, jak prosto przez zboża pędzono na południe bydło.

Automatyczne pastuchy wydawały się z tej wysokości mikroskopijnymi błyszczącymi gwiazdeczkami.

Wszystko to było już niepotrzebne.

- Nie słyszałeś czegoś o "Strzale?" - zapytał Robert.

- Nie. "Strzała" jest daleko. Nie zdąży. Przestań o tym myśleć, Rob!

- A o czym jeszcze miałbym myśleć? - mruknął Robert.



- Najlepiej o niczym. Usiądź wygodniej i patrz dokoła. Nie wiem jak ty, ale ja niczego wcześniej nie zauważałem. Chyba nawet nigdy nie widziałem tej zielonej fali na łanie zboża pod wpływem wiatru. Fali! Tfu! A wiesz, kiedy to wszystko zobaczyłem po raz pierwszy? Wiesz? Kiedy patrzyłem na step przez żelazną przysłonę w Charybdzie. Wpatrywałem się w tę czerń i nagle zobaczyłem step i zrozumiałem, że to koniec wszystkiego. I zrobiło mi się strasznie żal. A ryjówki patrzyły na Falę i niczego nie rozumiały... I wiesz, co sobie pomyślałem, Rob? Gdzieś się przeliczyliśmy.

Robert milczał. Rychło w czas, skomentował w duchu.

W dole przepływały białe prostokąty budynków, wybetonowane place, pasiaste wieże anten - była to jedna z licznych stacji energetycznych północnej strefy.

- Ląduj - powiedział Robert. - Gdzie?

- Na tym placu, widzisz? Tam, gdzie stoją pterokary.

Patryk spojrział przez burzę.

- Rzeczywiście - zauważył. - A po co?

- Weźmiesz sobie pterokar, a mnie oddasz flyer.

- Coś ty wykombinował? - spytał Patryk.

- Dalej polecisz sam. Mnie do Strumieni nie po drodze. Ląduj.

Patryk posłusznie przystąpił do lądowania. Flyer prowadził okropnie. Robert oglądał plac.

- Wspaniała organizacja - mruknął ironicznie. - My tam dusimy się, wszystko porzucamy, a tutaj na dwóch dyżurnych trzy pterokary.

Flyer niezdarnie wylądował między pterokarami. Robert przygryzł sobie język.

- Och! - powiedział. - No wylaż, wylaż.

Patryk bardzo powoli i niechętnie zlażł z siedzenia.

- Rob - rzekł niepewnie - może to nie moja sprawa, ale mimo wszystko, co wymyśliłeś?

Robert zręcznie przesiadł się na jego miejsce.

- Nie martw się, nic strasznego. Dasz sobie radę z pterokarem?

Patryk stał z opuszczonymi rękami i jego twarz przybrała współczujący wyraz.

- Rob - powiedział. - Spójrz trzeźwo. Nad Falą jest sto kilometrów bariery plazmowej. Nie dasz rady przeskoczyć.

Robert popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- On już dawno zginął - rzekł Patryk. - Za pierwszym razem mogłeś się pomylić, ale teraz tamtędy przeszła Fala.

- O czym ty mówisz? - rzucił Robert. - Nie mam zamiaru skakać przez Falę, niech ją diabli! Jest ważniejsza sprawa. Żegnaj. Przekaż Malajewowi, że nie wrócę. Żegnaj, Patryku.

- Żegnaj - powiedział Patryk.

- W końcu mi nie powiedziałeś, dasz sobie radę z pterokarem czy nie?

- Na pewno - odpowiedział smutno Patryk. - Pterokarami latam nie od dziś. Ech, Rob!...

Robert gwałtownie pociągnął ku sobie dźwignię sterowania i gdy po pięciu minutach obejrzał się, stacja energetyczna już skryła się za horyzontem. Do Wioski były dwie godziny lotu. Robert sprawdził paliwo i włączył autopilota. Później znowu próbował wywołać Wioskę. Wioska milczała. Chciał włączyć

radiostację, rozmyślił się i przełączył odbiornik na samostrojzenie.

- ...dziewiętej klasy Asmodeusz Barrault znalazł podczas wycieczki skamieniałe organizmy przypominające morskie jeże. Miejsce znaleziska jest znacznie oddalone od wybrzeża...

- ...narada u dyrektora. Krążą tu jakieś dziwne pogłoski. Podobno Fala dotarła do Greenfield. Czy nie powinnam wrócić do bazy? Teraz już nie pora na ulmotrony.

- ...wystawić własnymi siłami się nie da. Nie mamy Otella. Szczerze mówiąc, pomysł zagrania Szekspira wydaje mi się absurdalny. Nie sądzę, abyśmy mogli się zdobyć na nową interpretację, a czekać dopóki...

- ...Witia, jak mnie słyszysz? Witia, zdumiewająca nowina! Bullit rozszyfrował ten gen. Weź papier i pisz. Sześć... Jedenaście... Jedenaście, mówię...

- Uwaga, Tęcza! Do szefów wszystkich grup poszukiwawczych. Rozpocząć ewakuację. Zwrócić szczególną uwagę na to, aby wszystkie powietrzne środki transportowe klasy nie niższej od meduzy zostały dostarczone do Stolicy.

- ...niewielki błękitny domek nad samym morzem. Tutaj jest bardzo świeże powietrze, wspaniałe słońce. Nigdy nie lubiłam Stolicy i nigdy nie rozumiałam, po co ją wybudowano na równiku. Co mówisz? Ależ oczywiście, okropnie duszno...

- ...Sawyer! Sawyer! Tu Kaneko. Niezwłocznie zmieniaj kurs. Malarze już się znaleźli. Leć na południe. Odszukaj trzeci helikopter. Trzeci helikopter nie przybył...

- Uwaga, oblatywacze! Dzisiaj o czternastej odbędzie się pozaplanowy przerzut zerowy człowieka na Ziemię. Uprasza się o przybycie do Instytutu najpóźniej o godzinie trzynastej.

- ...Nic nie rozumiem. W żaden sposób nie mogę połączyć się z dyrektorem. Wszystkie kanały zajęte. Nie wiesz, co się dzieje?

- Adolfie! Adolfie! Błagam, odezwij się! Błagam, wracaj natychmiast! Są jeszcze szansę dostania się na gwiazdolit... - Głos zaczął cichnąć, ale Robert przytrzymał regulator długości fali. - Straszna katastrofa! Nie wiadomo dlaczego nie ma żadnych komunikatów, ale powiedziano mi, że Tęcza jest skazana! Wracaj natychmiast! Chcę być teraz z tobą...

Robert puścił regulator.

- ...jak zawsze. U Wesołowskiego. Nie, Sikora czyta nowe wiersze. Uważam, że ciekawe. Powinny ci się spodobać. Nie, oczywiście żadne arcydzieło, ale jednak...

- ...dlaczego, wszystko doskonale rozumiem. Ale osądź sam, "Tariel-2" to gwiazdolit desantowy. Próbowaleś oszacować, ile osób może zabrać? Nie, zostaną tutaj. Wiera także postanowiła zostać. Czy to nie wszystko jedno, gdzie...

- Tropiciele, Tropiciele! Miejsce zbiórki - Stolica. Wszyscy do Stolicy! Zabierajcie ze sobą "krety", będziemy kopać schron. Może zdążymy...

- ...mówi pan, że "Tariel"? Wiem, a jakże, Gorbowski. Tak, ładowność ma niestety niewielką. No cóż... Proponuję w przybliżeniu taką listę: z dyskretników - Pagawa, z falowców - Arystoteles, może Malajew, z barierowców radziłbym Forstera... No to co, że stary? Za to jest wielki! Pan, mój drogi, ma czterdzieści i widzę, że ma pan słabe pojęcie o psychologii starca. Zostało mu ledwie pięć - dziesięć lat i nawet to mu chcą odebrać...

- Gaba! Gaba! Słyszałeś o przerwaniu? Co? Jesteś zajęty? Dziwak z ciebie... Lecę do Instytutu. Dlaczego miałbym zwariować? Tak, wiem o wszystkim, wiem... Właśnie teraz! A jeśli się uda? Żegnaj. Szukaj tego, co ze mnie zostanie, gdzieś w pobliżu Procjona...

- Znowu fizycy coś wysadzili w powietrze na Biegunie Północnym. Trzeba by skoczyć i zobaczyć, ale przysłali tu jakiś helikopter i wszystkich zapraszają do Stolicy. Ach, was również? Dziwne!... No, do zobaczenia.

Robert wyłączył radiostację. "Tariel-2", desantowiec... Przejął sterowanie i maksymalnie zwiększył obroty silnika. Zboża na dole skończyły się, ustępując miejsca tropikalnym lasom. Niczego nie można było dojrzeć w pstrokatej, żółto-zielonej gmatwaninie, ale Robert wiedział, że tam, pod osłoną olbrzymich drzew, przebiegają proste szosy i po tych szosach prawdopodobnie już mkną na zachód pojazdy z uciekinierami. Kilka ciężkich śmigłowców towarowych przeleciało na tle horyzontu na południowy zachód. Zniknęły mu z oczu i Robert znowu pozostał sam. Wyjął radiofon i zadzwonił do Patryka. Patryk długo się nie odzywał. Wreszcie zabrzmiał jego głos:

- Halo?

- Patryku, to ja, Sklarow. Co wiadomo o Fali?

- Ciagle to samo, Rob. Brzeg Puszkina zatopiony. Aodzora spłonęła. Wioska Rybacka w tej chwili się pali. Kilka charybd ocalało, holują je ku Stolicy. Gdzie jesteś?

- To nie ma znaczenia - odpowiedział Robert. - Jaka odległość dzieli Falę od Wioski?

- Od Wioski? Na co ci Wioska? Wioska jest daleko. Słuchaj, Rob, jeśli się uratujesz, leć natychmiast do Stolicy. Będziemy tam wszyscy za pół godziny. - Nieoczekiwanie parsknął śmiechem. - Malajewa próbowali wsadzić do gwiazdolotu. Szkoda, że ciebie tam nie było. Rozkwasi! Hassanowi nos. A Pagawa się schował.

- Aż tobą nie próbowali?

- Jak możesz, Rob...

- Dobra, przepraszam. To znaczy, że Fala na razie jest jeszcze daleko od Wioski?

- Trudno powiedzieć, że bardzo daleko. O jakąś godzinę, półtorej...

- Dziękuję, Patryku. Do widzenia.

Robert znów próbował połączyć się z Tanią, tym razem przez radiofon. Czekał z pięć minut. Tania nie odpowiadała...

Dziecięca Wioska była pusta. Nad szklanymi sypialniami, nad sadami, nad pstrokatymi willami zaległa cisza. Nie dostrzegano się tu owego panicznego bałaganu, jaki został po zerowcach w Greenfield. Piaszczyste alejki były starannie zamiecione, ławki w ogrodzie stały, jak zawsze, w równych rzędach, łóżka były porządnie zasłane. Tylko na ścieżce przed domkiem Tani poniewierała się na piasku zapomniana lalka. Przy lalce siedział wielkooki, puszysty, oswojony kalam. Starannie obwąchiwał ją, spoglądając na Roberta z dobroduszną ciekawością.

Robert wszedł do pokoju Tani. Było tu, jak zawsze, czysto, jasno i przyjemnie pachniało. Na stole leżał otwarty zeszyt, na oparciu krzesła wisiał wielki ręcznik frotte. Robert dotknął go - był jeszcze wilgotny.

Robert postął przy stole, jego spojrzenie z roztargnieniem przeszliźnieło się po zeszyt. Dwukrotnie

przeczytał swoje imię, zanim dotarło do jego świadomości. Imię napisano wielkimi drukowanymi literami.

“ROBIKU! Ewakuowano nas pospiesznie do Stolicy. Szukaj mnie w Stolicy. Znajdź mnie koniecznie! Nic nam jeszcze nie mówiono, ale chyba nadciąga coś strasznego. Jesteś mi potrzebny, Robiku. Znajdź mnie. Twoja T.”

Robert wyrwał kartkę z zeszytu, złożył na cztery części i schował do kieszeni. Ostatni raz objął wzrokiem pokój Tani, otworzył szafę w ścianie, dotknął sukienek, zamknął szafę i wyszedł z domku.

Spod domku Tani morze było doskonale widoczne - spokojne, podobne do zastygłego zielonego oleju. Dziesiątki ścieżek prowadziły przez trawę ku żółtej plaży z porzrzuconymi leżakami i składanymi łózkami. Nad samą wodą kilka łódek leżało do góry kilem. A horyzont na północy płonął nieznośnie jaskrawymi, słonecznymi plamami świetlnymi. Robert szybko poszedł do autolotu. Przystąpił przez burzę, zatrzymał się i znowu spojrzał na morze. I nagle zrozumiał: to nie było słońce, to był grzbiet Fali.

Ze zmęczeniem osunął się na siedzenie i uruchomił silnik. Tak samo na południu, pomyślał. Wypiera nas i z północy, i z południa. Pułapka na myszy. Korytarz między dwiema śmierciami. Flyer pomknął nad tropikalną dżunglą. Ile jeszcze zostało, pomyślał, dwie, trzy godziny? Dwa miejsca w kosmolocie, dziesięć?

Dżungla pod autolotem skończyła się nagle i Robert zobaczył na rozległej polanie wielki pasażerski autobus otoczony gromadą ludzi. Machinalnie przyhamował i zaczął się obniżać. Widocznie autobus miał awarię i wszyscy ci ludzie obok niego - dziwne, tacy wszyscy malusińcy! - czekali, aż pilot naprawi uszkodzenie. Zobaczył pilota - olbrzymiego, czarnoskórego człowieka grzebiącego w silniku. A potem zrozumiał, że to dzieci i wtedy dostrzegł Tanie. Stała obok pilota i brała od niego jakieś części.

Flyer opadł dziesięć kroków od autobusu i wszyscy od razu odwrócili się ku niemu. Ale Robert widział tylko Tanie, jej piękną twarz, na której malowało się zmęczenie, szczupłe ręce przyciskające do piersi brudne żelastwo i rozszerzone ze zdumienia oczy.

- To ja - powiedział Robert. - Co się stało, Taniu?

Tania milczała. Wtedy spojrzał na czarnoskórego pilota i poznał Gabę. Gaba uśmiechnął się szeroko i krzyknął:

- A, to Robert! Chodź no tu, pomóż! Tania to wspaniała dziewczyna, ale nigdy nie miała nic wspólnego z autobusami! Ani ja! Silnik ciągle gaśnie!

Dzieci - siedmioletni chłopcy i dziewczynki - patrzyły na Roberta z zaciekawieniem. Robert podszedł do autobusu i pieczołtliwie musnąwszy policzkiem włosy Tani, zajął do silnika. Gaba poklepał go po plecach. Dobrze się znali. Doskonale do siebie pasowali - Robert i dziesięciu przeraźliwie nudzących się zerowców-oblatywaczy, którzy już dwa lata siedzieli tu z założonymi rękami po nieudanym doświadczeniu z psem Fimką.

To, co Robert zobaczył w silniku, zaparło mu na sekundę dech w piersi. Tak, Gaba dotąd rzeczywiście nie miał nigdy do czynienia z autobusami. Nic nie można było poradzić - skończyło się paliwo. Gaba niepotrzebnie rozebrał silnik. To się zdarza. Może przytrafić się nawet najbardziej doświadczonym kierowcom: w autobusach nieczęsto kończy się paliwo. Robert ukradkiem popatrzył na Tanie. Nadal przyciskała do piersi upačkane smarem cylindry i czekała.

- A więc? - dziarsko spytał Gaba. - Czy słusznie wybrzydaliśmy na tę dźwigienkę, nie mam pojęcia,

jak ona się nazywa?

- Cóż - powiedział Robert - bardzo możliwe. Chwycił za dźwignię i szarpnął nią parę razy. - Czy ktoś wie, że ugrzęźliście tutaj?

- Meldowałem - odparł Gaba. - Ale brakuje maszyn. Słyszałeś o historii z mechanozarodnikami?

- No? - powiedział Robert., bezcelowo, lecz bardzo porządnie oczyszczając rowek dźwigni podającej. Schylił się, żeby ukryć twarz.

- Potrzebne były pojazdy. Kaneko zaczął hodować meduzy, a okazało się, że to żadne meduzy, tylko automatyczne kuchnie. Błąd zaopatrzenia, he? - Gaba roześmiał się. - Jak ci się to podoba?

- Można umrzeć ze śmiechu - powiedział Robert przez zęby.

Podniósł głowę i omiół wzrokiem niebo. Ujrzał pusty, białawy błękit, a na północy, nad wierzchołkami dalekich drzew, oślepiająco jaskrawy grzebień Fali. Wówczas łagodnie opuścił maskę silnika, wymamrotał: "Taak... Zobaczmy!" i obszedł aerobus przechodząc na drugą stronę, gdzie nikogo nie było. Tam kucnął, przyciskając czoło do błyszczącego, wypolerowanego nadwozia. Po drugiej stronie aerobusu Gaba delikatnym acz gromkim głosem zaśpiewał:

*One is none, two is some,*

*Three is a many, four is a penny,*

*Five is a little hundred...\**

[\*angielska wyliczanka dziecięca.]

Gdy Robert otworzył oczy, ujrzał cień tańczący na trawie - cień rzucany przez podniesione do góry ręce z rozczapierzonymi palcami. Gaba zabawiał dzieci. Robert wyprostował się i otworzywszy drzwi na oścież wszedł do aerobusu. Na fotelu kierowcy siedział mały chłopiec kurczowo ściskając drążki sterowe. Rękojeściami wykreślał w powietrzu niezwykle figury, a gwizdał przy tym i trąbił.

- Uwważaj, bo urwiesz - powiedział Robert.

Chłopiec nie zwrócił na niego uwagi.

Robert chciał włączyć sygnalizator SOS, który, okazało się, był już włączony. Wówczas znowu przyjrzał się niebu. Przez spektrolit kopuły niebo wydawało się łagodnie niebieskie i było zupełnie puste. Trzeba się decydować, pomyślał. Popatrzył z ukosa na chłopca. Malec zapamiętałe naśladował ryk wichru.

- Wyjdź no, Rob - powiedział Gaba. Stał przy drzwiach.

Robert wyszedł.

- Przymknij drzwi - poprosił Gaba.

Słyszeli, jak Tania opowiada coś dzieciom po tamtej stronie aerobusu i jak gwizdże i trąbi chłopiec na siedzeniu pilota.

- Kiedy ona tu będzie? - spytał Gaba.

- Za pół godziny.

- Ca się stało z silnikiem?

- Nie ma paliwa.

Twarz Gaby poszarzała.

- Dlaczego? - zapytał tępo. Robert nie zareagował. - A w twoim flyerze?

- Dla takiego kufra nie starczy go i na pięć minut.

Gaba walnął się pięściami w czoło i siadł na trawie.

- Jesteś mechanikiem - powiedział ochryple. - Wymyśl coś.

Robert oparł się plecami o aerobus.

- Pamiętasz bajeczkę o wilku, kozie i kapuście? Tutaj jest z tuzin dzieciaków, jedna kobieta i my.

Kobieta, którą kocham najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. Kobieta, którą uratuję bez względu na okoliczności. Tak. Flyer jest dwuosobowy...

Gaba skinął głową.

- Rozumiem. Oczywiście nie ma nawet o czym mówić. Niech Tania wsiądzie do flyera i weźmie ze sobą tyle dzieci, ile się zmieści...

- Nie - powiedział Robert.

- Dlaczego nie? Za dwie godziny będą w Stolicy.

- Nie - powtórzył Robert. - To jej nie uratuje. Fala będzie w Stolicy za trzy godziny. Tam czeka gwiazdolot. Tania powinna nim odlecieć. Nie sprzeczasz się ze mną! - wyszeptał z wściekłością. - Możliwe są jedynie dwa warianty: albo lecę z Tanią ja, albo z Tanią lecisz ty, ale wówczas przysięgniesz mi na wszystkie świętości, że Tania poleci tym gwiazdolotem! Wybieraj!

- Oszalałeś! - zasyczał Gaba. Powoli wstał z trawy. - To dzieci! Opamiętaj się!

- A te, które zostaną tutaj, to nie dzieci? Kto wybierze trójkę, która poleci do Stolicy i na Ziemię? Ty? Idź i wybierz!

Gaba bezgłośnie otwierał i zamykał usta. Robert popatrzył na północ. Fala była już dobrze widoczna. Błyszczące pasmo podnosiło się coraz wyżej, ciągnąc za sobą ciężką, czarną kurtynę.

- No więc? - nalegał Robert. - Upierasz się?

Gaba powoli pokręcił głową.

- Więc żegnaj - powiedział.

Zrobił krok do przodu, ale Gaba zastąpił mu drogę.

- Dzieci! - wydusił z siebie prawie bezdźwięcznie.

Robert oburącz schwycił go za kłapy kurtki; ich twarze zetknęły się.

- Tania! - rzekł.

Przez chwilę bez słowa patrzyli sobie w oczy.

- Ona cię znienawidzi - szepnął Gaba.

Robert puścił go i roześmiał się.

- Za trzy godziny ja też umrę - powiedział. - Mnie będzie wszystko jedno. Żegnaj, Gaba.

Odstąpili od siebie.

- Nie poleci z tobą - rzucił Gaba.

Robert nie odpowiedział. Sam to wiem, pomyślał. Obszedł aerobus i długimi skokami pobiegł do flyera. Widział twarz Tani zwróconą ku niemu i roześmiane buzie dzieciaków, które otaczały Tanie, więc wesoło pomachał im ręką, czując silny ból w mięśniach twarzy, konwulsyjnie ściśniętych w beztróskim uśmiechu. Podbiegł do flyera, zajrzał do wnętrza, potem wyprostował się i krzyknął:

- Tanieczko, chodź, pomóż mi!

A w tej samej chwili z drugiej strony aerobusu wyskoczył Gaba. Na czworakach.

- Hej ho, koniec z nudą! - wrzasnął na całe gardło. - Kto schwyta Shere-Khana, wielkiego tygrysa dżungli?!

Zaryczał przeciągle, bryknął i pognął na czworakach w dżunglę. Przez kilka sekund dzieciaki z otwartymi ustami patrzyły na niego, potem któreś wesoło pisnęło, inne wydało okrzyk bojowy i wszystkie hurmem rzuciły się za Gaba, który przemykał rycząc pomiędzy drzewami.

Zerkając za siebie i uśmiechając się ze zdziwieniem Tania podeszła do Roberta.

- Jakie to dziwne - powiedziała. - Jakby w ogóle nie było żadnej katastrofy.

Robert ciągle patrzył w ślad za Gaba. Nikogo już nie było widać, ale śmiech i piski, chrzęst krzewów i groźny ryk Shere-Khana wyraźnie dobiegały z gęstwiny.

- Jak ty się dziwnie uśmiechasz, Robiku - zauważyła Tania.

- Cudak z tego Gaby! - powiedział Robert i od razu pożałował: trzeba było milczeć. Głos odmawiał mu posłuszeństwa.

- Co się stało, Rob? - natychmiast spytała Tania.

Mimowolnie popatrzył nad jej głową. Ona również odwróciła się, spojrzała w tę samą stronę i zalekniona przytuliła się do niego.

- Co to? - zapytała.

Fala podchodziła już do słońca.

- Trzeba się spieszyć - zakomenderował Robert. - Włącz do kabiny i podnieś siedzenie.

Zręcznie wskoczyła, a on dał olbrzymiego susa w ślad za nią, objął jej plecy prawą ręką, a następnie ścisnął mocno, aby nie mogła ruszyć się z miejsca, i momentalnie poderwał flyer w niebo.

- Robiku! - wyszeptała Tania. - Co ty wyprawiasz, Robiku?

Nie patrzył na nią. Wyciskał z flyera ile się dało. I jedynie kątem oka zobaczył w dole polanę, samotny aerobus i maleńką twarzyczkę z zaciekawieniem wyglądającą z kabiny kierowcy.

## Rozdział 8

Skwar zelżał, kiedy ostatnie pterokary, przepelnione i przeciążone, wylądowały, łamiąc podwozia, na ulicach przylegających do placu przed budynkiem Rady. Teraz na tym obszernym placu zebrała się niemal cała ludność planety.

Z północy i południa powolutku wsączały się w miasto grzmiące kolumny pokracznych koparek-kretów ze znakami rozpoznawczymi Tropicielei oraz z żółtymi błyskawicami budowniczych-energetyków. Rozbito obóz pośrodku placu i po intensywnej choć krótkiej naradzie, w której wzięły udział tylko dwie osoby - po trzy minuty półgłosem każda - zabrano się do kopania głębokiego szybu-schronu. Krety ogłuszająco załomotały rozbijając beton nawierzchni, a następnie jeden po drugim, dziwacznie wyginając się, poczęły zagłębiać się w ziemię. W krótkim czasie dookoła szybu wyrosły zwały rozdrobnionego gruntu, a nad placem zawisła dusząca, kwaskowata woń rozpuszczonego bazaltu.

Fizycy-zerowcy zapełnili świecące pustkami piętra teatru naprzeciw budynku Rady. Cały dzień się wycofywali, rozpaczliwie czepiając się awaryjnymi zastępami charybd każdego punktu obserwacyjnego, każdej stacji kontrolnej dalekiego zasięgu, ratując wszystko co się da z wyposażenia i dokumentacji naukowej, co chwila ryzykując życiem, dopóki kategoriyczny rozkaz Lamondoisa i dyrektora nie odwołał ich do Stolicy. Poznawano ich po wzburzeniu, wyzywającym i zarazem skruszonym wyglądzie, po nienaturalnie ożywionych głosach, po nieśmiesznych dowcipach z powoływaniem się na specjalne okoliczności, po nerwowym, głośnym śmiechu. Teraz pod kierunkiem Arystotelesa i Pagawy selekcjonowali i mikrofilmowali najcenniejsze materiały, bowiem oryginałów nie można było wywieźć z planety.

Wielka grupa mechaników i meteorologów skierowała się na skraj miasta i zaczęła montować taśmę produkcyjną małych rakietek. Wypełnione podstawową dokumentacją, miały być wystrzelone poza obręb atmosfery w charakterze sztucznych satelitów, a później przechwycone i dostarczone na Ziemię. Do budowniczych rakiet dołączyła część outsiderów - tych, którzy nie potrafili czekać z założonymi rękami, tych, którzy rzeczywiście mogli i pragnęli pomóc, oraz tych, którzy szczerze wierzyli w konieczność ocalenia dokumentacji.

Ale na placu zapchany gępcami, meduzami, dylizansami, kretami, gryfami pozostało jeszcze mnóstwo ludzi. Byli to biolodzy i planetolodzy, których życie utraciło nagle sens, outsiderzy - malarze i inni artyści - oszołomieni nagłośnią wypadków, rozgniewani, zagubieni, nie mający zielonego pojęcia co czynić, dokąd iść i do kogo zwrócić się z pretensjami.

Jacyś bardzo opanowani i spokojni ludzie niespiesznie rozprawiali na przeróżne tematy, zbierając się w niewielkie grupki między pojazdami. Inni spokojni ludzie w milczeniu i z ponurymi minami siedzieli w kabinach lub podpierali ściany budynków.

Planeta opustoszała. Każdy z mieszkańców został wezwany, wywieziony, wyłowiony z jej najdalszych, najbardziej odludnych zakątków i dostarczony do Stolicy. Stolica leżała na równiku, więc teraz na wszystkich szerokościach planety, pomocnych i południowych, było pusto. Pozostało tu i ówdzie zaledwie kilka osób, które oświadczyły, że jest im wszystko jedno, ponadto gdzieś nad tropikalnymi dżunglami zaginął aerobus z dziećmi i wychowawcą oraz ciężki gryf wysłany na jego poszukiwania.



Pod srebrzystą iglicą w ciągu ostatnich godzin obradowała bez przerwy Rada Tęczy. Od czasu do czasu głośnik powszechnej łączności głosem dyrektora lub Kaneko wywoływał po nazwisku najbardziej nieoczekiwanych ludzi. Wywołani biegli do gmachu Rady i znikali za drzwiami, a następnie wybiegali, siadali do pterokarów lub flyerów i odlatywali z miasta. Wielu z tych, którzy niczym się nie zajmowali, odprowadzało ich zawistnym wzrokiem. Nie było wiadomo, jakie zagadnienia omawia się na posiedzeniu Rady, lecz głośniki komunikatów ogólnych już wyryczały to, co najważniejsze: groźba katastrofy jest zupełnie realna; Rada dysponuje zaledwie jednym kosmolotem desantowym o małej ładowności; Dziecięca Wioska została ewakuowana, a dzieci umieszczono w miejskim parku pod opieką wychowawców i lekarzy; kosmolot liniowy "Strzała" utrzymuje stałą łączność z Tęczą i znajduje się w drodze do niej, ale przybędzie nie wcześniej niż za dziesięć godzin. Trzy razy na godzinę dyżurny Rady informował plac o położeniu frontów Fali. Głośnik huczał: "Uwaga, Tęcza! Przekazujemy informację..." I wówczas plac milknął, i wszyscy chciwie słuchali, spoglądając z irytacją na szyb, z którego dolatywał ogłuszający łoskot kretów. Fala posuwała się dziwnie. Jej przyspieszenie raz wzrastało - i wtedy ludzie posepniali, spuszczać oczy, raz malało - a wówczas twarze rozjaśniały się i pojawiały się na nich niepewne uśmiechy, ale Fala szła, płonęły zasiewy, płonęły lasy, paliły się opuszczone osady.

Oficjalnych informacji udzielano szalenie mało - może dlatego, że nie było ludzi i czasu na zdobywanie ich - toteż, jak zawsze w takich wypadkach, podstawowym rodzajem informacji stawały się pogłoski.

Tropiciele i budowniczy coraz głębiej wdzierali się w ziemię i wychodzący z szybu umorusani, zmęczeni ludzie krzyczeli, wesoło szczerząc zęby, że jeszcze jakieś dwie, trzy godziny i zakończą głęboki i dostatecznie przestronny schron dla wszystkich. Patrzono na nich z pewną nadzieją, a nadzieję tę wspierały uporczywe pogłoski dotyczące wyliczeń przeprowadzonych ponoć przez Etienne'a Lamondoisa, Pagawę i jakiegoś Patryka. Zgodnie z tymi wyliczeniami obie zmierzające ku sobie Fale - północna i południowa - po zderzeniu się na równiku powinny "spleść się energetycznie i zderytrynitować", pochłonąwszy przy tym wielką ilość energii.

Mówiono, że po tym zderzeniu na Tęczę ma spaść warstwa śniegu o grubości półtora metra.

Mówiono również, że pół godziny temu w Instytucie Przestrzeni Dyskretnej, którego ślepe, białe ściany mógł zobaczyć z placu każdy, kto chciał, udało się wreszcie zrealizować z powodzeniem pierwszy przerzut zerowy człowieka do Układu Słonecznego i nawet wymieniano nazwisko pierwszego w świecie pilota przelotu zerowego, w tej chwili jakoby przebywającego szczęśliwie na Plutonie.

Opowiadano o sygnałach, jakie otrzymano spoza południowej Fali. Sygnały były niezwykle silnie zniekształcone przez zakłócenia, ale udało się je rozszyfrować i wówczas podobno wyjaśniło się, iż kilka osób, które dobrowolnie pozostały na jednej ze stacji energetycznych na drodze Fali, przeżyło i czuje się nieźle, co świadczy właśnie o tym, że Fala P w odróżnieniu od Fal wcześniej znanych typów nie zagraża życiu. Wymieniano także nazwiska szczęśliwców i znaleźli się ludzie znający ich osobiście. Na potwierdzenie przekazywano relację naocznego świadka, który widział, jak sławetny Kamil wyskoczył z Fali na płonącym pterokarze i przemknął jak niesamowita kometa, krzycząc coś i machając ręką.

Najpopularniejsza pogłoska głosiła, że pewien stary astronauta, pracujący właśnie w szybie, miał powiedzieć co następuje: "Dowódcę «Strzały» znam sto lat. Jeśli mówi, że przyleci nie wcześniej niż za

dziesięć godzin, to znaczy, że będzie tu nie później niż za trzy godziny. I nie należy zwać winy na Radę. Tam siedzą dyletanci nie mający pojęcia, co to jest nowoczesny kosmolot i do czego może być zdolny w doświadczonych rękach.”

Świat nagle utracił swą prostotę i klarowność. Coraz trudniej było oddzielać prawdę od nieprawdy. Najuczciwszy, znany od dzieciństwa człowiek mógł bez zmrużenia powiek okłamać was tylko po to, by podtrzymać na duchu i uspokoić, a po dwudziestu minutach pogrążony już był w najczarniejszej rozpacz, przygnieciony ciężarem niedorzecznej pogłoski, według której Fala, jak mówią, chociaż nie zagraża bezpośrednio życiu, nieodwracalnie za to deformuje psychikę, sprowadzając ją do poziomu z czasów pierwotnych.

Ludzie na placu widzieli, jak do gmachu Rady weszła wysoka, masywna kobieta z zapłakaną twarzą, prowadząc za rękę może pięcioletniego chłopczyka w czerwonych spodenkach. Wielu poznało ją - była to Żenią Wiazanicyna, żona dyrektora Tęczy. Wyszła bardzo szybko w towarzystwie Kaneko, który grzecznie, lecz stanowczo prowadził ją pod ramię. Już nie płakała, ale na jej twarzy malowało się takie zaciekle zdecydowanie, że ludzie z przestrachem ustępowali jej z drogi. Chłopczyk spokojnie gryzł piernik.

Tym, którzy mieli jakieś zajęcie, było znacznie lżej. Dlatego wielka grupa malarzy, pisarzy i aktorów po sprzeczce, która doprowadziła wszystkich do całkowitego zachrypnięcia, podjęła wreszcie ostateczną decyzję i ruszyła na przedmieście do wytwórców rakiet. Wątpliwe, aby mogli dopomóc im w istotny sposób, lecz byli przekonani, że znajdzie się dla nich jakaś robota. Niektórzy zeszli na dno szybu, w którym prowadzono już poziome wyrobiska. A kilku doświadczonych pilotów wsiadło do pterokarów i pomknęło na północ i na południe, aby dołączyć do obserwatorów Rady, którzy już od paru godzin bawili się w berka ze śmiercią.

Pozostali widzieli, jak przed bramą Rady wylądował osmalony, pokryty plamami i pełen wgnieceń flyer. Wygramoliło się zeń dwóch mężczyzn; postali chwilę na trzęsących się nogach i podtrzymując się nawzajem, ruszyli do drzwi. Ich twarze były pożółkłe i opuchnięte, toteż z trudem rozpoznano w nich młodego fizyka Karla Hoffmana i oblatywacza-zerowca Timothy Sawyera, słynącego z mistrzowskiej gry na bandžo Sawyer tylko kręcił głową i coś mamrotał, Hoffman zaś, walcząc z chrypką, opowiedział niezrozumiale, że dopiero co usiłowali przeskoczyć przez Falę, podeszli do niej na odległość dwudziestu kilometrów, ale wtedy Timowi coś się stało z oczami, więc musieli zawrócić. Okazało się, że ktoś z Rady wpadł na pomysł przrzucenia ludności na drugą stronę Fali. Sawyer i Hoffman byli zwiadowcami. I zaraz ktoś powiedział, że dwóch Tropicieli próbowało dać nurka pod Falę na pełnym morzu w batyskafie eksploracyjnym, ale dotąd nie powrócili i nic o nich nie wiadomo.

Do tej pory na placu pozostało około dwustu osób - mniej niż połowa dorosłych mieszkańców Tęczy. Ludzie starali się trzymać grupami. Bez pośpiechu rozmawiali ze sobą, nie odrywając oczu od okien Rady. Na placu robiło się cicho: krety odeszły głęboko i ich ryk był ledwie słyszalny. Rozmowy prowadzono niewesołe.

- Znów mam zepsuty urlop. Tym razem, zdaje się, na długo.
- Schron, podziemie... konspiracja... Znowu nadciąga czarny mur i ludzie schodzą do podziemia.
- Szkoda, że nie mam nastroju do malowania. Popatrzcie, jaki piękny jest budynek Rady. Co za głębia barw! Z olbrzymią przyjemnością bym go namalował... i oddałbym tę atmosferę napięcia i

oczekiwania, ale... Nie mogę. Niedobrze mi.

- Mimo wszystko to dziwne. Wybieraliśmy Radę, ale nie tajną. Typowo kapłańskie zapędy. Zabarykadować się w gabinecie, żeby tam rozprawić o losach planety... Szczerze mówiąc nie jest dla mnie takie ważne, o czym gadają, ale to nieprzyzwoite...

- Bardzo mi się nie podoba ten Ananiew. Proszę popatrzeć, już dwie godziny siedzi sam, z nikim nie rozmawia i tylko cały czas ostrzy scyzoryk... Pójdę z nim pogadać. Chodźmy razem, dobrze?

- Aodzora spłonęła... Moja Aodzora. Sam ją budowałem. Znow trzeba będzie budować... A potem znow ją spala.

- Szkoda mi ich. Siedzimy tu sobie we dwoje i słowo honoru - niczego się nie boję! A Matwiej Siergiejewicz nie może nawet w ostatnich godzinach pobyc z żoną. Głupie to wszystko. Po co?

- Siedzę tu i gędzę, bo uważam, że jedyna szansa to gwiazdolit. A cała reszta to po prostu kpiny, szamotanina i nieudolna improwizacja.

- Po co tu przyleciałem? Źle mi było na Ziemi? Tęczu, Tęczu, jak ty nas skrzywdziłaś...

I w tym momencie głośnik ryknął:

- Uwaga, Tęczu! Mówi Rada! Zwołujemy ogólne zebranie mieszkańców planety! Zebranie odbędzie się na placu Rady i zacznie się za piętnaście minut. Powtarzam...

Przedzierając się przez tłum do budynku Rady Gorbowski stwierdził, że cieszy się niezwykle popularnością. Rozstępowano się przed nim, wskazywano nań oczami i nawet palcami, witano się z nim, pytano: "No jak tam, Leonidzie Andriejewiczu?" i za jego plecami wymawiano pogłosem jego nazwisko, nazwy gwiazd i planet, z którymi miał do czynienia, a także nazwy statków, którymi dowodził. Gorbowski, odwykły od takiej popularności, kłaniał się na wszystkie strony, wykonywał powitalne gesty ręką, uśmiechał się, odpowiadał: "Na razie wszystko w porządku" i myślał: Niech no mi teraz ktoś powie, że szerokie masy nie interesują się już astronautyką. Jednocześnie wręcz fizycznie wyczuwał straszliwe nerwowe napięcie panujące na placu. Sytuacja przypominała ostatnie minuty przed niezwykle trudnym i odpowiedzialnym egzaminem. Napięcie udzieliło się również jemu. Uśmiechając się i żartując, usiłował określić nastrój tłumy i zgadywał, co powiedzą, kiedy obwieści swoją decyzję. Wierzę w was, myślał uporczywie. Wierzę, wierzę bez względu na to, co się zdarzy. Wierzę w was, wystraszeni, zaniepokojeni, rozczarowani, fanatycy. Ludzie.

Przy samych drzwiach dopędził go i zatrzymał nieznajomy człowiek w kombinezonie górniczym.

- Leonidzie Andriejewiczu - powiedział uśmiechając się z zakłopotaniem. - Chwileczkę. Dosłownie minutkę.

- Proszę, proszę - odpowiedział Gorbowski.

Człowiek pospiesznie szperał w kieszeniach.

- Kiedy przybędziecie na Ziemię - mówił - pan będzie łaskaw mi nie odmawiać... Gdzie on się zapodział?... Nie sądzę, aby sprawiło to panu wielki kłopot. Aha, nareszcie... - Wyjął złożoną na pół kopertę.

- Tu jest adres drukowanymi literami... Błagam, niech pan to prześle.

Gorbowski skinął głową.

- Mógłbym nawet, gdyby litery były zwyczajne - powiedział łagodnie i wziął kopertę.

- Paskudny charakter pisma. Sam siebie nie potrafię odczytać, a teraz pisałem w pośpiechu... -

Milczał chwilę, następnie podał mu rękę. - Szczęśliwej podróży! Z góry dziękuję.

- Jak tam wasz szyb? - spytał Gorbowski.

- Doskonale - odpowiedział człowiek. - Proszę się o nas nie martwić.

Gorbowski wszedł do gmachu Rady i zaczął wspinać się po schodach obmyślając pierwsze zdanie swojego apelu do Rady. Zdanie w żaden sposób mu nie wychodziło. Nie zdążył wejść na pierwsze piętro, kiedy zobaczył, że członkowie Rady schodzą mu naprzeciw. Pierwszy, wodząc palcem po poręczy, lekko stąpił Lamondois, zupełnie spokojny i nawet jakiś roztargniony. Na widok Gorbowskiego uśmiechnął się dziwnym, zakłopotanym uśmiechem i od razu odwrócił wzrok. Gorbowski odsunął się. Za Lamondois kroczył dyrektor, pąsowy, wściekły. Burknął tylko: "Jesteś gotów?" i nie czekając na odpowiedź przeszedł obok niego. Minęli go również pozostali członkowie Rady podążający za dyrektorem; tych Gorbowski nie znał. Głośno i z ożywieniem omawiali konstrukcję wejścia do podziemnego schronu i zarówno w sile głosów jak i w zaangażowaniu w sprawę wyraźnie czuło się fałsz i było widać, że ich myśli zajęte są czymś innym. Jako ostatni - w pewnej odległości od całej grupy - schodził Stanisław Piszta, tak samo wielki, opalony na czarno, z bujnymi włosami jak dwadzieścia pięć lat temu, kiedy dowodził "Słonecznikiem" i razem z Gorbowskim szturmował Ślepą Plamę.

- Ba! - odezwał się Gorbowski.

- O! - powiedział Stanisław Piszta.

- Co ty tu robisz?

- Klóć się z fizykami.

- Zuch z ciebie - powiedział Gorbowski. - Ja też będę. A na razie powiedz, kto tutaj rządzi dziecięcą kolonią?

- Ja - odparł Piszta.

Gorbowski popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Ja, ja! - Piszta uśmiechnął się. - Nie wyglądam? Zaraz się przekonasz. Na placu. Jak się zacznie kłótnia. Zapewniam cię, że będzie to całkowicie niepedagogiczne widowisko.

Ruszyli wolno w dół ku wyjściu.

- Do diabła z kłótnią - powiedział Gorbowski. To ciebie nie dotyczy. Gdzie dzieci?

- W parku.

- Bardzo dobrze. Idź tam i natychmiast - słyszysz? - natychmiast zaczynaj załadunek dzieci na "Tariela". Są tam Mark i Percy. Żłobek już załadowaliśmy. Ruszaj szybko.

- Zuch z ciebie - stwierdził Piszta.

- A ja-ak - powiedział Gorbowski. - A teraz biegnij co sił w nogach.

Piszta klepnął go po ramieniu i kołysząc się pobiegł na dół. Gorbowski wyszedł za nim. Zobaczył setki zwróconych ku niemu twarzy i usłyszał dudniący bas Matwieja mówiącego do megafonu:

- ...i konkretnie rozstrzygamy teraz problem, co jest najcenniejszego dla ludzkości i dla nas jako części tej ludzkości. Pierwszy zabierze głos kierownik kolonii dziecięcej Stanisław Piszta.

- On poszedł sobie - powiedział Gorbowski.

Dyrektor obejrzał się.

- Jak to poszedł? - spytał szeptem. - Dokąd?

Na placu było cicho jak makiem siał.

- Wobec tego pozwólcie mnie - rzekł Lamondois. Sięgnął po megafon.

Gorbowski widział, jak szczupłe, białe dłonie mocno objęły konwulsyjnie zaciśniętą pięść Matwieja. Dyrektor nie od razu oddał megafon.

- Wszyscy wiemy, czym jest Tęcza - zaczął Lamondois. - Tęcza - to planeta skolonizowana przez naukę i wyznaczona do przeprowadzania eksperymentów fizycznych. Na wyniki tych eksperymentów czeka cała ludzkość. Każdy, kto przyjeżdża na Tęczę i mieszka tutaj, wie, na co się zdecydował. - Lamondois mówił dobitnie i z wielką pewnością siebie, i wspaniale się przy tym reprezentował - błądy, wyprostowany, napięty jak struna. - Wszyscy jesteśmy żołnierzami nauki. Nauce oddaliśmy całe swoje życie. Oddaliśmy jej całą swoją miłość i wszystko co mamy najlepszego. I to, co stworzyliśmy, siłą rzeczy nie należy już do nas. Należy do nauki i dwudziestu miliardów Ziemiaków rozrzuconych we wszechświecie. Rozmowy na tematy moralne są zawsze bardzo trudne i nieprzyjemne. I zbyt często rozumowi i logice przeszkadza w takich rozmowach nasze czyste emocjonalne "chcę" i "nie chcę", "podoba się" i "nie podoba". Istnieje jednak obiektywne prawo pchające naprzód ludzką społeczność, niezależne od naszych emocji, które głosi: ludzkość powinna poznawać. To dla nas najważniejsze - walka wiedzy z niewiedzą. I jeśli chcemy, by nasze działania nie wydawały się głupie w świetle tego prawa, powinniśmy go przestrzegać, nawet jeżeli musimy w tym celu odchodzić od pewnych wrodzonych lub wpojonych nam przez wychowanie idei. - Lamondois zamilkł na moment i rozpiął sobie kołnierzyk koszuli. - Najcenniejsza na Tęczy jest nasza praca. Trzydzieści lat badaliśmy przestrzeń dyskretną. Zebraliśmy tu najlepszych fizyków-zerowców Ziemi. Idee, zrodzone z naszej pracy, do tej pory znajdują się w stadium przyswajania, może dlatego, że są tak głębokie, perspektywiczne i z reguły paradoksalne. Nie pomylę się, jeśli powiem, że tylko tu, na Tęczy, żyją ludzie, w których dojrzeła nowe pojmowanie przestrzeni i że jedynie na Tęczy jest materiał eksperymentalny, który posłuży do teoretycznego opracowania całej sprawy. Ale nawet my, specjaliści, nie jesteśmy teraz w stanie przewidzieć, jakiej gigantycznej, nieograniczonej władzy nad światem przyda ludzkości nasza nowa teoria. Nie o trzydzieści lat - o sto, dwieście... trzysta lat skoczy do przodu nauka.

Lamondois przerwał, jego twarz pokryła się czerwonymi plamami, ramiona zgarbiły się. Nad miastem stała martwa cisza.

- Bardzo chcę żyć - powiedział nagle Lamondois. - I dzieci... Mam dwójkę, chłopczyk i dziewczynka; są tam, w parku... Nie wiem. Decydujcie sami.

Opuścił megafon i stał nadal przed tłumem, zwiotczały, postarzały i żaloszny.

Tłum milczał. Milczeli fizycy-zerowcy, stojący w pierwszych szeregach, nieszczęśni nosiciele nowego pojmowania przestrzeni, jedyni w całym wszechświecie. Milczeli malarze, pisarze i aktorzy, którzy świetnie wiedzieli, co to jest trzydziestoletnia praca i zbyt dobrze rozumieli, że żadne arcydzieło nie jest powtarzalne. Milczeli na rumowisku wyrzuconych z szybu odłamów skalnych budowniczy, od trzydziestu lat pracujący ramię w ramię z zerowcami i dla zerowców. Milczeli członkowie Rady - których uważano za ludzi najmądrzejszych, o największej wiedzy, największej dobroci, i od których w pierwszym rzędzie zależało to, co miało nastąpić.

Gorbowski widział setki twarzy, młodych i starych, męskich i kobiecych, i wszystkie wydawały mu się teraz jednakowe, niezwykle podobne do twarzy Lamondois. Świetnie wyobrażał sobie, co myślą ci

ludzie. Bardzo chcą żyć: młody dlatego, że tak mało przeżył, stary - bo tak mało pozostało mu życia. Z tą myślą można sobie jeszcze poradzić: wystarczy wysiłek woli - i da się zepchnąć w głąbiny podświadomości i usunąć z drogi. Kto tego nie może dokonać, o niczym więcej nie myśli, ogromnym wysiłkiem ukrywając śmiertelne przerażenie. A pozostali... Bardzo żał pracy. Bardzo żał, nieznośnie żał dzieci. Nawet nie chodzi o to, że żał - tu jest mnóstwo ludzi mających do dzieci stosunek obojętny - ale myślenie o czymkolwiek innym wydaje się podłe. I trzeba decydować. Och, jakie to trudne - decydować! Musisz wybrać i powiedzieć na głos, co wybrałeś. I tym samym wziąć na siebie gigantyczną odpowiedzialność, zupełnie nieporównywalną z ciężarem odpowiedzialności wobec samego siebie, aby tylko przez pozostałe trzy godziny życia czuć się człowiekiem, nie kulić się z nieznośnego wstydu i nie tracić ostatniego tchnienia na okrzyk: "Durniu! Nikczemniku!" skierowany do samego siebie. Miłosierdzie, pomyślał Gorbowski.

Podszedł do Lamondoisa i odebrał mu megafon. Zdaje się, że Lamondois nawet tego nie zauważył.

- Widzicie - powiedział z przejęciem Gorbowski do megafonu - obawiam się, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Kolega Lamondois proponuje wam podjęcie decyzji. Ale chyba rozumiecie, właściwie nie ma tu o czym decydować. Decyzje zostały podjęte. Żłobek i matki z niemowlętami są już w gwiazdolocie. (Tłum głośno odetchnął.) Pozostałe dzieci lokuje się właśnie w tej chwili. Myślę, że wszystkie się zmieszczą. Nawet nie myślę - jestem pewien. Musicie mi wybaczyć, ale zdecydowałem samodzielnie. Mam do tego prawo. Mam nawet prawo tłumić w zarodku wszelkie próby przeciwdziałania. Ale nie sądzę, że będę musiał to prawo zastosować. Ogólnie biorąc kolega Lamondois wypowiedział interesujące myśli. Chętnie bym z nim podyskutował, ale muszę już iść. Drodzy rodzice, wejście na kosmodrom jest całkowicie wolne. Co prawda, proszę wybaczyć, na pokład gwiazdolotu wchodzić nie należy.

- No, już koniec - głośno powiedział ktoś z tłumu. - I słusznie! Górnicy, za mną!

W tłumie zaczął się gwar i ruch. Wystartowało kilka pterokarów.

- Na czym trzeba się oprzeć? - dodał Gorbowski. - Najcenniejsze, co mamy - to przyszłość...

- My jej nie mamy - rozległ się w tłumie surowy głos.

- Wprost przeciwnie! Nasza przyszłość - to dzieci. Bardzo świeża myśl, nieprawdaż?! I w ogóle trzeba być sprawiedliwym. Życie jest piękne i my wszyscy już o tym dobrze wiemy. A dzieciaki jeszcze nie wiedzą. Ile przed nimi samej tylko miłości! Już nie mówię o problemach fizyki zerowej. (W tłumie rozległy się oklaski.) Skończyłem.

Gorbowski wcisnął megafon jednemu z członków Rady i podszedł do Matwieja. Matwiej parę razy poklepał go mocno po plecach. Patrzyli na topniejący tłum, na twarze, które ożyły i od razu zrobiły się zupełnie różne, Gorbowski zaś mruknął z westchnieniem:

- Zabawne. Wszyscy doskonalimy się, doskonalimy, stajemy się coraz lepsi, mądrzejsi, szlachetniejsi, lecz mimo wszystko jak to przyjemnie, kiedy ktoś podejmuje za nas decyzję...

## Rozdział 9

“Tariel-2”, desantowy sigma-D-kosmolot, miał służyć do przerzutów na duże odległości niewielkich grup badaczy z minimalnym kompletem wyposażenia laboratoryjnego. Świetnie nadawał się do lądowania na planetach ze wściekłymi atmosferami, posiadał ogromne rezerwy ciągu, był trwały, niezawodny i w dziewięćdziesięciu pięciu procentach składał się z kondensatorów energetycznych. Oczywiście statek posiadał część mieszkalną składającą się z pięciu maciupęńkich kajut, mikroskopijnej mesy, miniaturowego kambuza i pakownej sterowni, zastawionej pulpitemi przyrządów nawigacyjnych i kontrolnych. Była też na statku ładownia - dość obszerne pomieszczenie z nagimi ścianami i niskim sufitem, pozbawione klimatyzacji, nadające się w skrajnych wypadkach do urządzenia w nim polowego laboratorium. Normalnie “Tariel-2” brał na pokład do dziesięciu osób łącznie z załogą.

Dzieci wprowadzano obydwoma włączkami: młodsze przez pasażerski, starsze przez bagażowy. Przy włączkach tłoczyli się ludzie i było ich znacznie więcej, niż oczekiwał Gorbowski. Na pierwszy rzut oka dostrzegał nie tylko wychowawców i rodziców. Nie opodal piętrzyły się skrzynie z nie rozdanyymi ulmotronami i wyposażeniem dla Tropicielei z Lalandy. Dorośli mówili mało, lecz wokół statku panował niezwykle gwar: pisk, śmiech, cienkogłosy, bezładny śpiew - zgiełk, zawsze tak charakterystyczny dla internatów, placów zabaw i ambulatoriów. Znajomych nie było widać, tylko na uboczu Gorbowski dojrzał Alę Postyszewą. I ona zmieniła się - przygasła, posmutniała, choć nadal nosiła się nadzwyczaj elegancko i starannie. Siedziała na pustej skrzyni, z rękami na kolanach i patrzyła na statek. Czekwała.

Gorbowski wysiadł z pterokara i skierował się do gwiazdolotu. Kiedy przechodził obok Ali, żałośnie uśmiechnęła się do niego i rzekła: “A ja czekam na Marka”. “Tak, tak. Zaraz wyjdzie”, łagodnie powiedział Gorbowski i poszedł dalej. Ale od razu zatrzymano go i wtedy zrozumiał, że dotarcie do wylazu nie będzie takie proste.

Postawny brodaty człowiek w panamie zagroził mu drogę.

- Panie Gorbowski - powiedział. - Bardzo proszę, niech pan to weźmie.

Podał Gorbowskiemu długi, ciężki rulon.

- Co to? - spytał Gorbowski.

- Mój ostatni obraz. Jestem Johann Surd.

- Johann Surd - powtórzył Gorbowski. - Nie wiedziałem, że pan tu jest.

- Proszę wziąć. Waży całkiem niewiele. To dzieło mojego życia. Przywiozłem go tutaj na wystawę.

To “Wiatr”...

Gorbowskiemu ścisnęło się serce.

- Proszę mi go dać - powiedział i ostrożnie wziął z jego rąk rulon.

Surd uklonił się.

- Dziękuję - rzucił na odchodnym i zniknął w tłumie.

Ktoś mocno i boleśnie schwytał Gorbowskiego za rękę. Odwrócił się i ujrzał młodziutką kobietę.

Drżały jej wargi, a twarz miała mokrą od łez.

- Czy to pan jest kapitanem? - spytała łamiącym się głosem.

- Tak, tak. Ja.

Jeszcze boleśniej ścisnęła mu rękę.

- Tam jest mój synek... Na statku... - Wargi zaczęły się krzywić. - Boję się...

Gorbowski zrobił zdziwioną minę.

- Ale czego? Tam jest zupełnie bezpieczny.

- Jest pan pewien? Obiecuję mi pan?

- Jest zupełnie bezpieczny - powtórzył Gorbowski zdecydowanie. - To bardzo dobry statek.

- Tyle dzieci - powiedziała szlochając. - Tyle dzieci!...

Puściła jego rękę i odwróciła się. Gorbowski podreptał trochę w miejscu, niezdecydowany, i w końcu poszedł dalej, osłaniając ramionami i ciałem arcydzieło Surda, ale w tym momencie wzięto go z obu stron pod rękę.

- Waży niecałe trzy kilo - powiedział blade, kanciasty mężczyzna. - Nigdy w życiu nikogo o nic nie prosiłem...

- Widzę - zgodził się z nim Gorbowski. Rzeczywiście to rzucało się w oczy.

- Chodzi o sprawozdanie z obserwacji Fali za okres dziesięciu lat. Sześć milionów fotokopii.

- To niezwykle ważne! - potwierdził drugi człowiek, trzymający Gorbowskiego za lewy łokieć. Miał grube, dobre wargi, nieogolone policzki i małe, błagalne oczka. - Rozumie pan, to jest Malajew... - Wskazał palcem pierwszego. - Pan koniecznie powinien wziąć tę teczkę...

- Zamilcz, Patryku - rzekł Malajew. - Leonidzie Andriejewiczu, proszę zrozumieć... Żeby to się więcej nie powtórzyło... Żeby nigdy więcej - zabrakło mu tchu - żeby już nikt i nigdy nie stawiał nas w obliczu takiego haniebnego wyboru...

- Nieście za mną - zgodził się Gorbowski. Mam zajęte ręce.

Puścili go i zrobił krok do przodu, lecz uderzył kolanem o wielki, owinięty w brezent przedmiot, który z wyraźnym trudem dźwigało dwóch młodzieńców w jednakowych, niebieskich beretach.

- Może pan weźmie! - wysapał jeden z nich.

- O ile to możliwe... - dodał drugi przepraszająco.

- Dwa lata ją budowaliśmy...

- Bardzo prosimy.

Gorbowski pokręcił przecząco głową i zaczął ich ostrożnie omijać.

- Leonidzie Andriejewiczu - żałośnie jęknął pierwszy. - Błagamy pana.

Gorbowski znowu pokręcił głową.

- Nie poniżaj się - rzucił gniewnie drugi. I nagle wypuścił z rąk - od swojej strony - osłonięty przedmiot, który z trzaskiem uderzył o ziemię. - No i po co trzymasz?

Z niespodziewaną wściekłością kopnął aparat i odszedł mocno kulejąc.

- Władek! - krzyknął pierwszy w ślad za nim z wyraźną trwogą.

- Nie wariuj!

Gorbowski odwrócił się.

- Rzeźbiarze, oczywiście, nie mają na co liczyć - rozległ się nad jego uchem przypochlebny głos.

Gorbowski tylko pokręcił głową: mówić nie mógł. Za jego plecami, deptając mu po piętach,



ochryple dyszał Malajew. I jeszcze grupa jakichś ludzi z rulonami, zawiniątkami i paczuszkami w rękach ruszyła z miejsca dotrzymując im kroku.

- Może i ma to sens... - nerwowo i zacinając się nieco przemówił jeden z nich. - Może wszystko... Złożyć wszystko przy włązie bagażowym... Rozumiemy, że szansę są znikome... Ale jeśli okaże się, że pozostały jakieś wolne miejsca... W końcu to nie są ludzie, tylko rzeczy... Poutykać je gdziekolwiek... jakkolwiek...

- Tak... rzeczywiście... - odpowiedział Gorbowski. - Proszę, żeby pan się tym zajął. - Zatrzymał się na chwilę i przełożył arcydzieło na drugie ramię. - Niech pan poinformuje o tym wszystkich. Niech złożą wszystko przy włązie bagażowym. W odległości dziesięciu kroków. Dobrze?

W tłumie rozpoczął się ruch i zrobiło się nieco mniej ciasno. Ludzie z rulonami i zawiniątkami zaczęli się rozchodzić, a Gorbowski wy dostał się wreszcie na wolną przestrzeń przy włązie pasażerskim, gdzie malcy, ustawieni parami, czekali na swoją kolej, aby dostać się w ręce Percy Dicksona.

Szkraby w różnobarwnych kurteczkach, spodenkach i czapczkach znajdowały się w stanie euforii: czekał je prawdziwy przelot międzygwiazdny. Były bardzo zajęte sobą i błękitnym ogromem statku, obdarzając tłoczących się wokół rodziców roztargnionymi spojrzeniami. Czyż mogły teraz myśleć o rodzicach? W okrągłym otworze włązu stał Percy Dickson ubrany w starodawny, od dawna nie używany galowy mundur astronauty, ciężki i niewygodny, z naprędcę posrebrzonymi guzikami, orderami i olśniewającymi galonami. Pot spływał mu strumieniami po zarośniętej twarzy, on zaś od czasu do czasu wykrzykiwał głosem morskiego wilka: "Wciągnąć bim-bom-bramsle! Wszyscy na miejsca! Podnieść kotwicę!" Było to bardzo zabawne i podekscytowane bąki nie spuszczały z niego zachwyconych oczu. Stało tam też dwoje wychowawców: mężczyzna trzymał w ręku wykaz nazwisk, kobieta bardzo wesoło śpiewała z dziećmi piosenkę o dzielnym nosorożcu. Dzieciarnia, nie odrywając oczu od Dicksona, podśpiewywała z wielkim zapalem, a każdy po swojemu.

Gorbowski pomyślał, że - kiedy się tak stoi plecami do tłumu - można by pomyśleć, iż rzeczywiście dobrotliwy wujaszek Percy zorganizował dla przedszkolaków atrakcyjną wycieczkę najprawdziwszym kosmolotem dookoła Tęczy. Ale oto Dickson podniósł na ręce kolejnego brzdąca i, odwróciwszy się, przekazał go komuś do przedsionka, a wtedy za plecami Gorbowskiego kobiecy głos krzyknął histerycznie: "Mój Tolik! Tolik..." Obejrzał się i zobaczył bladą twarz Malajewa i pełne napięcia oblicza ojców, i twarze matek, uśmiechających się żalonymi niby-uśmiechami, i łzy w oczach, i przygryzione wargi, i rozpacz, i miotającą się w ataku hysterii kobietę, którą pospiesznie odprowadzał, objąwszy za ramiona, jakiś człowiek w wybrudzonej ziemną kombinezonie. Ktoś się odwrócił, ktoś się zgarbił i pospiesznie brnął, wpadając na ludzi idących mu naprzeciw, a ktoś po prostu położył się na betonie i ścisnął rękami głowę.

Gorbowski zobaczył Żenię Wiazanicynę, która zaokrągliła się i wyprzystojniała; stała z boku, jej olbrzymie oczy były suche, a usta mocno zaciśnięte. Trzymała za rękę tłusciutkiego, spokojnego chłopczyka w czerwonych spodenkach. Chłopiec gryzł jabłko i pożerał wzrokiem błyszczącego Percy Dicksona.

- Dzień dobry, Leonidzie - powiedziała.

- Witaj, Żeniu - odparł Gorbowski.

Malajew i Patryk odeszli na bok.

- Ależ z ciebie chudzielec! - powiedziała. - Ciągłe taki chudy. A nawet chudszy.

- A ty wypiękniałaś.

- Czy nie za bardzo ci przeszkadzam?

- Bądź spokojna, wszystko idzie jak powinno. Muszę tylko obejrzeć statek. Bardzo się boję, że jednak zabraknie nam miejsc.

- Bardzo źle mi samej. Matwiej wciąż zajęty i zajęty... Nieraz mi się wydaje, że jemu jest absolutnie wszystko jedno.

- Wcale nie jest mu wszystko jedno - powiedział Gorbowski. - Rozmawiałem z nim. Wiem: wcale nie jest mu wszystko jedno... Ale nic nie może zrobić. Wszystkie dzieci na Tęczy są jego własnymi dziećmi. Nie może inaczej.

Ledwie dostrzegalnie machnęła wolną ręką.

- Nie wiem, co robić z Aloszką - poskarżyła się. - Jest strasznym maminsynkiem. Nawet do przedszkola nie chodził.

- Przyzwyczaj się. Dzieci bardzo szybko się przyzwyczajają. I nie bój się: będzie mu dobrze.

- Nawet nie wiem, do kogo się zwrócić.

- Wszyscy wychowawcy są dobrzy. Wiesz o tym. Wszyscy są jednakowi. Aloszce będzie dobrze.

- Nie rozumiesz mnie. Przecież jego nawet nie ma na żadnej liście.

- A co w tym strasznego? Czy jest na liście, czy nie - i tak żadne dziecko nie pozostanie na Tęczy.

Listy są tylko po to, żeby nie pogubić dzieci. Chcesz, pójdę i powiem, żeby go zapisali.

- Tak - powiedziała. - Nie... Zaczekaj. Może wejdę z nim razem na statek?

Gorbowski smutno pokręcił głową.

- Żeniu - powiedział łagodnie. - Tak nie można. Nie powinnaś niepokoić dzieci.

- Nikogo nie będę niepokoić. Chcę tylko popatrzeć, jak mu tam będzie... Kto będzie obok...

- Takie same dzieciaki jak on. Wesołe i dobre.

- Pozwól mi wejść razem z nim.

- Tak nie można, Żeniu.

- Można. I trzeba. On nie będzie mógł sam. Jak da sobie radę beze mnie? Niczego nie rozumiesz.

Wy wszyscy niczego nie rozumiecie. A ja zrobię wszystko, co będzie trzeba. Każdą pracę. Przecież ja wszystko umiem. Nie bądź taki bezlitosny...

- Żeniu, popatrz dokoła. To są matki.

- On nie jest taki jak inni. Jest słaby. Kapryśny. Przywykł do ciągłej opieki. Nie poradzi sobie beze mnie. Nie poradzi! Przecież wiem to najlepiej ze wszystkich! A może wykorzystujesz to, że nie mam się komu na ciebie poskarżyć?

- Czyżbyś chciała zająć miejsce dziecka, które będzie musiało zostać tutaj?

- Żadne nie zostanie - powiedziała z przejęciem. - Jestem pewna, że żadne! Wszystkie dzieci się zmieszczą! A dla mnie zupełnie nie potrzeba miejsca! Macie z pewnością jakieś maszynownie, magazyny... Powinam być z nim!

- Niczego nie mogę dla ciebie zrobić. Wybacz.

- Możesz! Jesteś kapitanem. Możesz wszystko. Zawsze byłeś dobrym człowiekiem, Lonia!

- Ja i teraz jestem dobry. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jaki jestem dobry.

- Nie odejdę od ciebie - stwierdziła i zamilkła.

- Dobrze - powiedział Gorbowski. - Tylko zrobmy tak. Zaraz odprowadzę na statek Aloszkę, obejrzę pomieszczenia i wrócę do ciebie. Dobrze?

Patrzyła mu badawczo w oczy.

- Nie okłamiesz mnie. Wiem. Wierzę. Nigdy nikogo nie okłamywałeś.

- Nie okłamię. Kiedy statek będzie startował, znajdziesz się obok mnie. Daj chłopca.

Nie odrywając oczu od jego twarzy, jak we śnie popchnęła ku niemu Aloszkę.

- Idź, idź, Aliku - powiedziała. - Idź z wujkiem Lonią.

- Dokąd? - spytał chłopiec.

- Na statek - odpowiedział Gorbowski, biorąc go za rękę. - A dokąd by jeszcze? Na ten statek.

Widzisz, do tamtego wujka. Chcesz?

- Chcę do tamtego wujka - oświadczył chłopczyk. Na matkę już nie patrzył.

Razem podeszli do trapu, po którym wchodziły ostatnie dzieci. Gorbowski powiedział wychowawcy:

- Niech go pan umieści na liście. Aleksiej Matwiejewicz Wiazanicyn.

Wychowawca popatrzył na chłopca, potem na Gorbowskiego i kiwnął głową, zapisując. Gorbowski powoli wszedł po trapie i za rękę przeciągnął Aleksieja Matwiejewicza przez wysoki próg.

- To się nazywa przedsionek - objaśnił chłopcu.

Chłopczyk zaczął się wyrywać, uwolnił się, podszedł do Percy Dicksona i zaczął go oglądać z bliska. Gorbowski zdjął z ramienia i postawił w kącie obraz Surda. Co jeszcze? pomyślał. Aha! przypomniał sobie. Wrócił do wjazdu i wysunawszy się, wziął od Malajewa teczkę.

- Dziękuję - powiedział Malajew z uśmiechem. - Nie zapomniał pan... Spokojnej plazmy.

Patryk także uśmiechał się. Machając rękami, cofnęli się w tłum. Żenią stała tuż pod wjazdem i Gorbowski pomachał jej ręką. Potem odwrócił się do Dicksona.

- Gorąco? - spytał.

- Okropnie. Warto by teraz wziąć prysznic. A w łazienkach niech by i dzieci wzięły.

- To opróżnijcie łazienki - powiedział Gorbowski.

- Łatwo powiedzieć. - Dickson ciężko westchnął i skrzywiwszy się odchylił ciasny kołnierz munduru. - Broda wchodzi pod kołnierz - wymamrotał. - Kłuje nie do wytrzymania. Swędzi mnie całe ciało.

- Wujku - zapytał Alosza. - Czy ty masz prawdziwą brodę?

- Możesz sprawdzić - odparł z westchnieniem Percy i schylił się.

Chłopiec pociągnął go za brodę.

- Ale i tak jest nieprawdziwa - oświadczył.

Gorbowski złapał go za rękę, ale Alosza wyrwał się.

- Nie chcę z tobą - powiedział. - Ja chcę z kapitanem.

- Świetnie - zgodził się Gorbowski. - Percy, odprowadź go do wychowawcy.

Ruszył ku drzwiom na korytarz.

- Tylko nie mdlej - rzucił w ślad za nim Dickson.

Gorbowski odsunął drzwi. Rzeczywiście, czegoś takiego na statku jeszcze nie było. Pisk, śmiech,

gwizd, szczebiotanie, gruchanie, wojownicze okrzyki, stukanie, dzwonienie, tupanie, zgrzytanie metalu o metal, miauczące kwilenie niemowląt... Niepowtarzalne zapachy mleka, miodu, lekarstw, rozgrzanych dziecięcych ciał, mydła - mimo klimatyzacji, mimo nieprzerwanej pracy wentylatorów awaryjnych... Gorbowski poszedł korytarzem, wybierając miejsca, gdzie ma postawić nogę, zaglądając z obawą przez otwarte na oścież drzwi, za którymi skakały, tańczyły, kołysały do snu lalki, celowały z dubeltówek, zarzucały lassa, tłoczyły się w niewyobrażalnej ciasnocie, siedziały i pełzały po rozłożonych kojach, na stołach, pod stołami, pod kojami ze cztery dziesiątki chłopców i dziewczynek w wieku od dwóch do sześciu lat. Z kajuty do kajuty biegali zatroskani wychowawcy. W mesie, z której wyrzucono prawie wszystkie meble, młode matki karmiły i przewijały niemowlęta, tu też był żłobek - pięcioro raczkujących dzieci, rozmawiających ze sobą ptasim językiem, łąziło na czworakach w odgrodzonym dla nich kącie. Gorbowski wyobraził sobie to wszystko w stanie nieważkości, zmrużył oczy i przeszedł do sterowni.

Gorbowski nie poznał sterowni. Była pusta. Zniknął masywny auto-regulator, który zajmował trzecią część pomieszczenia. Zniknął pulpit sterowniczy i fotel drugiego pilota. Zniknął pulpit ekranu obserwacyjnego. Fotel przed komputerem. A sam komputer, na wpół rozebrany, błyszczał obnażonymi modułami. Statek przestał być gwiazdolotem. Przekształcił się w samobieżną międzyplanetarną barękę, która zachowała dobry ciąg, lecz nadaje się tylko do przelotów po inercyjnych trajektoriach.

Gorbowski wsunął ręce do kieszeni. Dickson sapał mu nad uchem.

- Ta-ak - powiedział Gorbowski. - A gdzie Walkenstein?

- Tutaj. - Walkenstein wychynął z wnętrzości komputera. Był posepny i bardzo zdecydowany.

- Zuch z ciebie, Marku - pochwalił go Gorbowski. - I ty też, Percy. Dziękuję.

- O ciebie już trzy razy pytał Piszta - powiedział Mark i znowu skrył się w komputerze. - Jest przy włązie bagażowym.

Gorbowski opuścił sterownię i wszedł do ładowni. Zrobiło mu się zimno. W długim i wąskim pomieszczeniu, słabo oświetlonym dwiema lampami jarzeniowymi, stali, ściśle przylegając do siebie, chłopcy i dziewczynki w wieku szkolnym - od pierwszaków do uczniów wyższych klas. Stali w milczeniu, niemal bez ruchu, przestępując tylko z nogi na nogę, i patrzyli w otwarty na oścież właz, przez który widać było błękitne niebo i płaski, biały dach dalekiego magazynu. Przez chwilę Gorbowski, zagryzając wargę, patrzył na dzieci.

- Pierwszaków przenieść na korytarz - zadysponował. - Drugą i trzecią klasę do sterowni.

Natychmiast.

- Ale to nie wszyscy - zauważył cicho Dickson. - Dziesięcioro utknęło gdzieś po drodze z Dziecięcej Wioski... Ale myślę, że już nie żyją. Uczniowie starszych klas odmawiają wejścia na statek. I jest jeszcze grupa dzieci outsiderów, które właśnie przybyły. Zresztą sam zobaczysz.

- Mimo wszystko proszę wykonać moje polecenie - powiedział stanowczo Gorbowski. - Pierwsze trzy klasy - na korytarz i do sterowni. A tutaj - więcej światła, ekran, pokazujcie filmy. Historyczne. Niech wiedzą, jak dawniej bywało. Działaj, Percy. I jeszcze jedno - niech dzieci utworzą łańcuch aż do Walkensteina, podawanie części trochę je zajmie.

Z trudnością precyzyjnie się do włazu i zbiegł na dół. U podnóża włazu, otoczona wychowawcami, stała duża grupa dzieci w różnym wieku. Po lewej bez ładu i składu piętrzyły się, zwalone na kupe,

najcenniejsze przedmioty kultury materialnej Tęczy: pliki dokumentów, skoroszyty, maszyny i modele maszyn, owinięte tkaniną rzeźby, rulony płócien. Po prawej zaś, w odległości dwudziestu kroków, stali ponurzy chłopcy i dziewczęta w wieku piętnastu - szesnastu lat, a przed nimi, założywszy ręce do tyłu, z pochyloną głową przechadzał się bardzo poważny Stanisław Piszta. Niegłośno, lecz dobitnie mówił:

- ...Możecie uważać, że to egzamin. Mniej myślcie o sobie, a więcej o innych. No i co z tego, że jest wam wstyd? Weźcie się w garść, pokonajcie to uczucie!

Młodzi uporczywie milczeli. I przygnębieni milczeli też dorośli stłoczeni przed włazem bagażowym. Niektóre dzieci ukradkiem rozglądały się dokoła i widać było, że mają wielką ochotę prysnąć, ale ucieczka była niemożliwa - otaczali ich ojcowie i matki. Gorbowski popatrzył na właz. Nawet stąd było widać, że statek zapchany jest po brzegi. W szerokim jak brama luku zwartym szeregiem stały dzieci. Twarze miały niedzięcięce - zbyt poważne i zbyt smutne.

Do Gorbowskiego jakoś bokiem przysunął się olbrzymi, bardzo przystojny młody człowiek ze smutnymi, błagalnymi oczami, które szokująco nie pasowały do reszty postaci.

- Jedno słowo, kapitanie - przemówił drżącym głosem. - Tylko jedno słowo...

- Chwileczkę - odpowiedział Gorbowski.

Podszedł do Piszty i objął go za ramiona.

- Miejsca starczy dla wszystkich - oświadczył Piszta. - O to proszę się nie martwić...

- Stanisławie - powiedział Gorbowski - wydaj dyspozycje w sprawie upychania pozostałych.

- Tam nie ma miejsc - niekonsekwentnie sprzeciwił się Piszta. - Czekaliśmy na ciebie. Dobrze by było opróżnić rezerwową D-komorę.

- Na "Tarielu" nie ma rezerwowych D-komór. Ale miejsce zaraz się znajdzie. Zajmij się tym.

Gorbowski pozostał twarzą w twarz z uczniami wyższych klas.

- Nie chcemy lecieć - oświadczył jeden z nich, dobrze zbudowany blondyn o jasnozielonych oczach.

- Lecieć powinni wychowawcy.

- Słusznie! - powiedziała niska dziewczyna w sportowych spodniach. Z tyłu zabrzmiał głos Percy Dicksona:

- Rzucajcie! Po prostu na ziemię!

Z włazu posypały się dzwiczące płyty modułów komputera. System "podaj dalej" ruszył.

- Wiecie co, chłopcy i dziewczęta? - rozpoczął Gorbowski. - Po pierwsze nie macie prawa głosu, ponieważ jeszcze nie skończyliście szkoły. A po drugie, trzeba mieć sumienie. Prawda, jesteście jeszcze młodzi i rwiecie się do bohaterskich czynów, ale chodzi o to, że tu się nie przydadacie, a na statku - bardzo. Strach pomyśleć, co się tam będzie działo podczas lotu w stanie nieważkości. Potrzeba po dwóch starszych uczniów na każdą kajutę do przedszkolaków, przynajmniej trzy zręczne dziewczynki do żłobka i do pomocy matkom z niemowlętami. Krótko mówiąc, oto gdzie wymaga się od was bohaterskich czynów.

- Proszę wybaczyć, kapitanie - powiedział kpiąco zielonooki - ale wszystkie te obowiązki doskonale mogą wypełniać wychowawczynie.

- Proszę wybaczyć, młodzieńcze - odparł Gorbowski - ale sędzę, że znacie prawa kapitana. Jako kapitan obiecuję, że spośród wychowawców polecą jedynie dwie osoby. A co najważniejsze - natężcie mózgi i spróbujcie sobie wyobrazić, jak będą żyć dalej wasi wychowawcy, jeśli zajmą wasze miejsca na

statku. Zabawy skończyły się, moi drodzy, przed wami życie, takie, jakim niekiedy, na szczęście rzadko, ono bywa. A teraz wybaczenie, jestem zajęty. Na pocieszenie mogę wam tylko powiedzieć jedno: wejdziecie na statek jako ostatni. To wszystko.

Odwrócił się do nich plecami i z rozpędu wpadł na młodego człowieka ze smutnymi oczami.

- Och, przepraszam - bąknął Gorbowski. - Zupełnie o panu zapomniałem.

- Pan powiedział, że poleci dwóch wychowawców - ochryplym głosem powiedział młody człowiek.

- Kto?

- Kim pan jest? - spytał Gorbowski.

- Nazywam się Robert Sklarow. Jestem fizykiem-zerowcem. Ale nie o mnie chodzi. Ja panu zaraz wszystko wyjaśnię. Tylko proszę mi najpierw powiedzieć, kto z wychowawców leci?

Sklarow... Sklarow... Zdziwiająco znajome nazwisko. Gdzie o nim słyszałem?

- Kamil - odpowiedział Sklarow z wymuszonym uśmiechem.

- Ha - rzekł Gorbowski. - Więć interesuje pana, kto leci? - Obejrzał Sklarowa od stóp do głów. -

Dobrze, powiem panu. Wyłącznie panu. Leci kierownik i leci naczelny lekarz. Sami jeszcze o tym nie wiedzą.

- Nie - jęknął Sklarow, chwytając Gorbowskiego za rękę. - Jeszcze jeden... jeszcze jedna... Tatiana Turczina. Jest wychowawczynią. Bardzo ją kochają. Jest najbardziej doświadczonym wychowawcą...

Gorbowski uwolnił rękę.

- Nie można - odpowiedział. - Nie można, kochany Robercie. Lecą tylko dzieci i matki z niemowlętami, rozumie pan? Tylko dzieci i karmiące matki.

- Ona też! - natychmiast zareagował Sklarow. - Ona też jest matką! Będzie miała dziecko... Moje dziecko! Może pan ją zapytać... Ona też jest matką!

Ktoś mocno popchnął Gorbowskiego w ramię. Zachwiał się i zobaczył, jak Sklarow w panice robi parę kroków do tyłu, pospiesznie opuszczając plac boju. W milczeniu nacierała na niego drobna, szczupła kobieta, zdumiewająco elegancka i zgrabna, o przyprószonych siwizną złotych włosach i przepięknej, lecz jakby skamieniałej twarzy. Gorbowski przesunął dłonią po czole i wrócił do trapu.

Teraz zostali tu jedynie uczniowie starszych klas i wychowawcy. Pozostali dorośli - ojcowie i matki, i ci, którzy przynieśli tutaj swoje dzieła, a także ci, którzy widocznie przepojeni mglistą, nie w pełni uświadomioną nadzieją, Ignęli do gwiazdolotu, powoli odchodzili, rozstępując się i rozbijając na grupy. We włązie stał z rozłożonymi rękami Stanisław Pisza i krzyczał:

- Posuńcie się troszeczkę, dzieci! Michael, krzyknij do tych w sterowni, żeby się trochę ścieśniły. Jeszcze ciut-ciut!

Odpowiadały mu poważne dziecięce głosy:

- Kiedy nie ma gdzie! Taki tu tłok, że nie można się ruszyć!

A głęboki bas Percy Dicksona dudnił znowu:

- Jak to nie ma gdzie? A tu oto za pulpitem? Nie bój się, maleńka, prądem cię nie porazi, przechodź, przechodź... I ty też... I ty, z zadartym noskiem... Więcej życia! I ty... tak, tak!

I chłodny, metaliczny głos Walkensteina prosił także:

- Stańcie ciaśniej, dzieciaki... Pozwólcie przejść... Pozwólcie przejść... Posuń się, dziewczynko...

Przepuść mnie, chłopcze...

Piszta odsunął się trochę i obok niego pojawił się Walkenstein z kurtką przewieszoną przez ramię.

- Zostaję na Tęczy - oświadczył. - Musicie sobie poradzić beze mnie, Leonidzie Andriejewiczu. -

Jego oczy błędziły wśród tłumu, wyraźnie kogoś szukając.

Gorbowski skinął głową.

- Lekarz na pokładzie? - spytał.

- Tak - odpowiedział Mark. - Z dorosłych są tam jedynie lekarz i Dickson.

Z włazu rozległ się nagle śmiech.

- Ech, wy! - z wysiłkiem wyrwał się głos Dicksona. - Oto jak trzeba... Raz-dwa... raz-dwa...

We włazie ukazał się Dickson. Nad głową Piszty pojawiła się jego zmieniona twarz, spocona i jasnomalinowa.

- Trzymaj mnie, Leonidzie - wysyczał z trudem. - Zaraz spadnę.

Dzieci śmiały się do rozpuku. Widok rzeczywiście był bardzo śmieszny: tłusty inżynier pokładowy jak mucha wisiał na suficie, uczepony rękami i nogami karabinków do przymocowywania ładunków. Był ciężki i zgrzany, kiedy Piszta z Gorbowskim wyciągnęli go na zewnątrz i postawili na nogi; ciężko dysząc powiedział:

- Jestem stary. Jestem już stary...

Mrugając powiekami jakby w poczuciu winy, patrzył na Gorbowskiego.

- Nie mogę, Leonidzie. Ciasno, duszno, gorąco... Ten nieszczęsny mundur... Zostaję, a ty leć z Markiem. A zresztą, prawdę mówiąc, mdli mnie na sam wasz widok.

- Żegnaj, Percy - rzekł Gorbowski.

- Żegnaj, przyjacielu - powiedział Dickson ze wzruszeniem.

Gorbowski roześmiał się i poklepał go po galonach.

- Cóż, Stanisławie - przemówił. - Będiesz musiał obejść się bez inżyniera pokładowego. Myślę, że się obejdiesz. Twoje zadanie: wyjść na orbitę sputnika równikowego i czekać na "Strzałę". Resztę zrobi dowódca "Strzały".

Przez kilka sekund Piszta milczał zaskoczony. Potem zrozumiał.

- Ty co, hę? - powiedział bardzo cicho, wodząc wzrokiem po twarzy Gorbowskiego. - Ty co? Przecież jesteś Desantowcem! Co to za gesty?

- Gesty? - zdziwił się Gorbowski. - Tego nie potrafię. Idź już. Odpowiadasz za nich wszystkich do końca. - Odwrócił się do młodzieży: - Marsz na pokład! - krzyknął. - Idź pierwszy, bo później się nie przecisniesz - poradził Piszcie.

Piszta popatrzył na ponurych nastolatków powoli wlokących się do trapu, popatrzył na właz, z którego wyglądały twarze dzieci, niezdarnie dziobnął Gorbowskiego w policzek, skinął głową Markowi i Dicksonowi i wspiąwszy się na palce, chwycił za karabinki. Gorbowski podsadził go. Uczniowie starszych klas jeden za drugim z demonstracyjną wyniosłością i powolnością zaczęli przeciskać się do środka, mężnie pokrzykując: "Hej tam, ruszać się zwawiej! Zaciśnij zęby, jeśli nadepną ci na nogę! Kto tam tak ryczy? Głowa do góry!" Ostatnia weszła dziewczynka w sportowych spodniach. Na chwilę zatrzymała się i z nadzieją popatrzyła na Gorbowskiego, ale jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Przecież nie ma gdzie - poskarżyła się cichutko. - Sam pan widzi? Za nic się nie zmieszczę.

- Schudniesz - obiecał Gorbowski i wzięwszy ją za ramiona, ostrożnie wcisnął w tłum. Potem spytał Dicksona: - A gdzie kino?

- Wszystko wyliczone - odpowiedział dumnie Percy. - Kino zacznie się w momencie startu. Dzieci lubią niespodzianki.

- Piszta! - krzyknął Gorbowski. - Jesteś gotowy?

- Gotowy! - donośnie zameldował Piszta.

- Startuj, Piszta! Spokojnej plazmy! Zamykać włązy! Chłopcy i dziewczęta, spokojnej plazmy!

Cięzka płyta włązu bezszelestnie wysunęła się ze szczeliny w korpusie. Gorbowski, machając ręką na pożegnanie, odszedł od progu. Nagle przypomniał sobie.

- O cholera! - wrzasnął. - A list?

W kieszeni na piersi listu nie było, w bocznej również. Właz zamykał się. List nie wiadomo dlaczego znalazł się w wewnętrznej kieszeni. Gorbowski wcisnął go dziewczynce w sportowych spodniach i pospiesznie cofnął dłoń. Właz zatrzasnął się ostatecznie. Gorbowski, sam nie wiedząc dlaczego, pogładził błękitnawy metal, zszedł na ziemię na nikogo nie patrząc, a Dickson z Markiem odciągnęli trap. Wokół statku pozostało już zupełnie niewielu ludzi, za to nad statkiem krążyło kilkadziesiąt helikopterów i flyerów.

Gorbowski obszedł stertę cennych przedmiotów, potknął się o jakieś popiersie i ruszył dookoła statku w stronę luku pasażerskiego, gdzie powinna czekać na niego Żenią Wiazanicyna. Żeby chociaż Matwiej przyleciał, myślał ze smutkiem. Czuł się jak wyżęty i wysuszony i bardzo się ucieszył, gdy zobaczył Matwieja. Matwiej szedł mu naprzeciw. Ale był sam.

- A gdzie Żenią? - spytał Gorbowski.

Matwiej zatrzymał się i rozejrzał dokoła. Ani śladu Żeni.

- Była tutaj - odpowiedział. - Rozmawiałem z nią przez radiofon. Co, luki już zamknięte? - Nadal się rozglądał.

- Tak, zaraz start - wyjaśnił Gorbowski. Też się rozglądał wokoło. Może jest w helikopterze, pomyślał. Lecz wiedział, że to niemożliwe.

- Dziwne, że nie ma Żeni - odezwał się Matwiej.

- Może jest w helikopterze - powiedział Gorbowski. Nagle zrozumiał. A niech ją, pomyślał.

- I w końcu nie zobaczyłem Aloszki - powiedział Matwiej.

Dziwny, szeroki dźwięk podobny do konwulsyjnego westchnienia rozległ się nad kosmodromem. Olbrzymi błękitny maszyn statku cicho oderwał się od ziemi i wolno popłynął do góry. Pierwszy raz w życiu widząc start swojego statku, pomyślał Gorbowski. Matwiej wciąż odprowadzał statek oczami. - i nagle jak uządlony odwrócił się gwałtownie do Gorbowskiego i ze zdumieniem wlepił weń wzrok.

- Zaczekaj... - wymamrotał. - Coś mi się tu nie zgadza. Dlaczego jesteś tutaj? A co ze statkiem?

- Tam jest Piszta - uspokoił go Gorbowski.

Oczy Matwieja znieruchomiały.

- Oto ona - wyszeptał.

Gorbowski odwrócił się. Nad horyzontem oślepiająco błyszczała lśniąca równa wstęga.



## Rozdział 10

Na przedmieściu Stolicy Gorbowski poprosił o zatrzymanie się. Dickson zahamował i popatrzył na niego wyczekująco.

- Pójdę pieszo - zdecydował Gorbowski.

Wysiadł. Równocześnie wysiadł Mark i wyciągnawszy rękę, pomógł wyjść Ali Postyszewej. Przez całą drogę od kosmodromu nie odzywali się do siebie. Mocno, jak dzieci, trzymali się za ręce, a Ala, zamknawszy oczy, przytulała się twarzą do ramienia Marka.

- Chodź ze mną, Percy - zaproponował Gorbowski. - Będziemy zbierać kwiatuszki i już nie jest gorąco. I będzie to z korzyścią dla twojego serca.

Dickson pokręcił kudłatą głową.

- Nie, Leonidzie - odpowiedział. - Lepiej się pożegnajmy. Ja pojedę.

Słońce wisiało tuż nad horyzontem. Zrobiło się chłodnawo. Słońce świeciło jakby w korytarzu utworzonym przez czarne ściany: obie Fale - północna i południowa - podniosły się już wysoko nad widnokregiem.

- Tym korytarzem - dokończył Dickson. - Gdzie mnie oczy poniosą. Żegnaj, Leonidzie, żegnaj, Marku. I ty dziewczyno, żegnaj. Idźcie sobie... Ale najpierw po raz ostatni spróbuję przewidzieć wasze poczynania. Teraz to szczególnie łatwe.

- Tak, to łatwe - zgodził się Mark. - Żegnaj, Percy. Chodźmy, maleńka.

Z przyjaznym uśmiechem spojrzął na Gorbowskiego, otoczył Alę ramieniem i ruszyli w step. Gorbowski i Dickson patrzyli na oddalające się postacie.

- Troszkę późno - zauważył Dickson.

- Tak - zgodził się Gorbowski. - Mimo wszystko zazdroścę im.

- Lubisz zazdrościć. Zawsze tak apetycznie to robisz, Leonidzie. I ja zresztą zazdroścę.

Zazdroścę, że ktoś będzie myśleć o nim w jego ostatniej minucie, a o mnie... i o tobie także, Leonidzie, nikt.

- Chcesz, będę myślał o tobie? - zapytał poważnie Gorbowski.

- Nie, nie warto. - Dickson mrużąc oczy popatrzył na niskie słońce. - Tak - powiedział. - Tym razem chyba się nie wywinie. Żegnaj, Leonidzie!

Skinął głową i odjechał, a Gorbowski bez pośpiechu ruszył szosą wraz z innymi ludźmi, tak samo, w żółtym tempie, wlokącymi się do miasta. Było mu wyjątkowo lekko na duszy i spokojnie, po raz pierwszy w ciągu tego gorączkowego, napiętego i straszego dnia. Nie musiał już o nikogo się troszczyć, podejmować decyzji, wszyscy dokoła byli w pełni samodzielni i on także stał się całkowicie samodzielny. Tak czuł się po raz pierwszy w życiu.

Wieczór był piękny i gdyby nie czarne ściany po prawej i lewej stronie, powoli wrastające w błękitne niebo, byłby wprost przepiękny: cichy, przejrzysty, w miarę chłodny, przesyty ukośnymi, różowawymi promieniami słońca. Ludzi na szosie stale ubywało: wielu odeszło w step, jak Walkenstein z Alą, inni zaś usiedli po prostu na poboczach.

W mieście wzdłuż głównej ulicy różnobarwnymi plamami pyszniły się wystawione po raz ostatni przez malarzy obrazy - przy drzewach, pod ścianami domów, na falowodach w poprzek drogi, na słupach energetycznych. Przed obrazami stali ludzie, wspominali, uśmiechali się, ktoś nieposkromionej naturze - wszczynął spór, a milutka, szczupła kobieta gorzko płakała, powtarzając głośno: "Szkoda... Jakże szkoda!" Gorbowski pomyślał, że gdzieś ją musiał widzieć, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Słysząc było obco brzmiącą muzykę: w otwartej kawiarni obok gmachu Rady malutki, chuderlawy człowieczek z niezwykłą namiętnością i temperamentem grał na koncertowej chorioli. Ludzie przy stolikach zastygli; wiele osób słuchało siedząc na stopniach i gazonach przed kawiarenką; oparty o instrument stał olbrzymi kartonowy arkusz, na którym nieco krzywymi literami napisano: "Daleka Tęcza. Pieśń. Nie dokończ."

Wokół szybu kręciło się mnóstwo zaaferowanych ludzi. Matowo pobłyskiwała olbrzymia, nie dokończona kopuła śluzy. Od budynku teatru ciągnęła się długa kolejka fizyków-zerowców objuczonych teczkami, zawiniątkami, mnóstwem pudełek. Gorbowski od razu pomyślał o teczce z materiałami, którą dostał od Malajewa. Usiłował sobie przypomnieć, co się z nią stało. Chyba zostawił w sterowni. A może w przedsionku? Nie warto sobie tym zaprzętać głowy. Nieważne. Grunt to luz. Dziwne, czyżby fizycy jeszcze na coś liczyli? Prawda, zawsze można spodziewać się cudu. Jakie to zabawne, że na cud czekają teraz najbardziej sceptyczni i logiczni ludzie na całej planecie.

Pod ścianą Rady, przy wejściu, siedział z wyciągniętymi nogami człowiek w poszarpanym kombinezonie pilota, niewidomy, z obandażowaną twarzą. Na jego kolanach spoczywało błyszczące, niklowane bandžo. Odrzuciwszy do tyłu głowę, niewidomy słuchał "Dalekiej Tęczy".

Zza kopuły wyłonił się pseudonawigator Hans z ogromnym tobołem na ramieniu. Na widok Gorbowskiego uśmiechnął się i nie zwalniając kroku powiedział: "O, kapitan! Jak tam pańskie ulmotrony? Dostał pan? Właśnie zakopujemy archiwa. Bardzo to nużące. Dzień jakiś taki zwariowany..." Zdaje się, że był to jedyny człowiek na Tęczy, który do końca nie wiedział, że Gorbowski jest prawdziwym kapitanem "Tariela".

Z okna Rady zawołał Gorbowskiego Matwiej.

- "Tariel" już na orbicie! - krzyknął. - Właśnie się pożegnali. Tam wszystko w porządku.

- Zejdź tu - zaproponował Gorbowski. - Pójdźmy razem.

Matwiej pokręcił przecząco głową.

- Nie, bracie - powiedział. - Mam nadal mnóstwo spraw, a czasu mało... - Pomilczał chwilę, a następnie dodał zmieszany: - Żenią się znalazła, wiesz chyba gdzie?

- Domyślam się - odpowiedział Gorbowski.

- I po coś to zrobił? - spytał Matwiej.

- Słowo honoru, niczego nie robiłem - odpowiedział Gorbowski.

Matwiej z dezaprobatą pokręcił głową i skrył się w głębi pokoju, a Gorbowski poszedł dalej.

Wyszedł na brzeg morza, na przepiękną, żółtą plażę ze pstrokatymi parasolami i wygodnymi leżakami, z kutrami i łódkami cumującymi przy niewysokim pomoście przystani. Opadł na jeden z leżaków, z rozkoszą wyciągnął nogi, splótł dłonie na brzuchu i popatrzył na zachód, na purpurowe, zachodzące słońce. Z obu stron zwisały aksamitnoczarne ściany, których starał się nie zauważać.

Teraz powinien startować na Lalandę, myślał poddając się ogarniającej go senności. Siedzielibyśmy sobie we trzech w sterowni, a ja opowiadałbym, jaka to miła planeta z tej Tęczy i jak zjeździłem ją całą w ciągu jednego dnia. Percy Dickson milczałby, bawiąc się swoją brodą, Mark zaś zrzędziłby, że staro, nudno i wszędzie jednakowo.

A jutro o tej porze wyszlibyśmy z derytrynitacji...

Obok niego przeszła z opuszczoną głową przepiękna dziewczyna z pasmami siwizny w złotych włosach, która tak w porę przerwała jego nieprzyjemną rozmowę ze Sklarowem na kosmodromie. Szła wzdłuż linii wody i jej twarz już nie sprawiała wrażenia kamiennej, była po prostu śmiertelnie zmęczona. O jakieś pięćdziesiąt kroków od Gorbowskiego zatrzymała się, postąpiła, patrząc w morze, i usiadła na piasku, opierając podbródek na kolanach. W tym momencie tuż nad jego uchem ktoś ciężko westchnął i, spojrzawszy z ukosa, Gorbowski ujrzał Sklarowa. Sklarow również patrzył na dziewczynę.

- To wszystko bez sensu - powiedział niegłośno. - Nudno żyłem, niepotrzebnie! A to, co najgorsze, zostało na ostatni dzień...

- Mój drogi - odparł Gorbowski. - Cóż może być dobrego w ostatnim dniu?

- Pan jeszcze nie wie...

- Wiem - przerwał mu Gorbowski. - Wiem wszystko...

- Nie może pan wiedzieć wszystkiego... Przecież słyszę, jak pan ze mną rozmawia.

- Jak?

- Jak ze zwyczajnym człowiekiem. A ja jestem tchórzem i przestępcą.

- No, Robercie - mitygował go Gorbowski. - Jakiż tam z ciebie tchórz i przestępca?

- Tchórz i przestępca - powtórzył z uporem Robert. - Jestem nawet czymś gorszym, bo wydaje mi się, że cały czas postępowałem słusznie.

- Tchórzy i przestępców nie ma. - oświadczył Gorbowski. - Jestem raczej skłonny uwierzyć w człowieka, który potrafi zmartwychwstać, niż w człowieka zdolnego do popełnienia przestępstwa.

- Nie musi mnie pan pocieszać. Przecież mówię, że nie wie pan o wszystkim.

Gorbowski powoli zwrócił ku niemu głowę.

- Robercie - powiedział. - Nie trać czasu. Podejź do niej. Usiądź obok... Lubię tak sobie leżeć, lecz jeśli chcesz, to ci pomogę...

- Wszystko wychodzi inaczej, niż się chce - ze smutkiem skarżył się Robert. - Byłem pewien, że ją ocale. Wydawało mi się, że jestem gotów na wszystko. Ale okazało się, że tak nie jest... Pójdę - powiedział nagle.

Gorbowski obserwował go, jak idzie - z początku zamaszystym i pewnym krokiem, a potem coraz wolniej i wolniej, ale mimo wszystko podszedł do niej i usiadł obok, a ona się nie odsunęła.

Przez pewien czas Gorbowski patrzył na nich, starając się zorientować, czy zazdrości im, czy nie, a później zasnął na dobre. Obudziło go dotknięcie czegoś chłodnego. Otworzył nieco jedno oko i ujrzał Kamila, jego absurdalny hełm, wiecznie smutną, posępną twarz i okrągłe, nieruchome oczy.

- Wiedziałem, że pan tu jest, Leonidzie - oświadczył Kamil. - Szukałem pana.

- Dzień dobry, Kamilu - mruknął Gorbowski. - To z pewnością bardzo nudne - wiedzieć wszystko...

Kamil przysunął leżak i usiadł obok w pozie człowieka ze złamanym kręgosłupem.

- Bywają rzeczy znacznie nudniejsze - odpowiedział. - Wszystko mi obrzydło. To był olbrzymi błąd.
- Jak wyglądają sprawy na tamtym świecie? - spytał Gorbowski.
- Jest ciemno - odpowiedział Kamil. Zamilkł na chwilę. - Dzisiaj umierałem i zmartwychwstawałem

trzykrotnie. Za każdym razem bardzo bolało.

- Trzykrotnie - powtórzył Gorbowski. - Rekord. - Popatrzył na Kamila. - Kamilu, wyznaj mi prawdę. W żaden sposób nie mogę tego zrozumieć. Czy jesteś człowiekiem? Nie krępuj się. Już nikomu nie zdązę opowiedzieć.

Kamil zamyślił się.

- Nie wiem - powiedział. - Jestem ostatnim z Feralnej Trzynastki. Doświadczenie nie udało się, Leonidzie. Ze stanu "chcesz, ale nie możesz" przeszedłem do "możesz, lecz nie chcesz". To strasznie przygnębiające - móc i nie chcieć.

Gorbowski słuchał z zamkniętymi oczami.

- Tak, rozumiem - przemówił. - "Móc i nie chcieć" - to pochodzi od maszyny. "A przygnębiające" - od człowieka.

- Niczego pan nie rozumie - odpowiedział Kamil. - Lubicie czasami marzyć o mądrości patriarchów, którzy nie mają ani pragnień, ani uczuć, ani nawet wrażeń. Bezcielesny rozum. Mózg-daltonista. Wielki Logik. Metody logiczne wymagają absolutnego skupienia. Aby dokonać czegokolwiek w nauce, człowiek musi dniem i nocą myśleć o jednym i tym samym, czytać o jednym i tym samym... A dokąd można uciec od własnego psychicznego pryzmatu? Od wrodzonej zdolności odczuwania... Przecież trzeba kochać, czytać o miłości, potrzebne są zielone pagórki, muzyka, obrazy, uczucie niedosytu, strach, zawiść... Próbujecie się ograniczać - i tracicie olbrzymi kawał szczęścia. I całkowicie zdajecie sobie sprawę z tego, że go tracicie. I wtedy, aby zniszczyć w sobie tę świadomość i unicestwić męczące rozdwojenie, kastrujecie się, odrywacie od siebie całą emocjonalną połowę ludzkiej istoty i zostawiacie sobie tylko jedną reakcję na otaczający was świat - zwątpienie. "Podawaj w wątpliwość!" - Kamil zamilkł na chwilę. - I wówczas czeka was samotność. - Ze strasznym smutkiem patrzył na wieczorne morze, na stygnącą plażę, na puste leżaki rzucające dziwaczny potrójny cień. - Samotność... - powtórzył. - Wy, ludzie, stale odchodziliście ode mnie. Zawsze byłem dla was zbędnym, natrętnym i niezrozumiałym dziwakiem. I teraz znowu odejdziecie. A ja zostanę sam. Dziś w nocy zmartwychwstanę po raz czwarty, sam na martwej planecie przysypanej popiołem i śniegiem...

Nagle na plaży zrobiło się gwarno. Grzęznąć w piasku, schodzili ku morzu oblatywacze - ośmiu oblatywaczy, ośmiu niedoszłych pilotów-zerowców. Siedmiu niosło na ramionach ósmego, niewidzącego, z twarzą owiniętą bandażami. Niewidomy, odrzuciwszy do tyłu głowę, grał na bandžo i wszyscy śpiewali:

*Gdy jak nawala ciemnych wód  
Nieszczęście bez najmniejszych złud  
Sięgało ci do warg,  
Tyś zaciskała tylko dłoń,  
Wstępując śmiało w mroczną toń,  
I dalej szłaś bez skarg.\**

[\* Samuel Marszak - "T.G."]

Nie oglądając się za siebie, weszli śpiewając w morze po pas, potem po pierś, a potem popłynęli ku zachodzącemu słońcu, trzymając na plecach niewidomego towarzysza. Po obu stronach mieli czarne, sięgające zenitu ściany; pozostała jedynie wąziutka, ciemnobłękitna bruzda nieba, czerwone słońce i smuga roztopionego złota, po której płynęli, i wkrótce w ogóle nie było ich już widać w drżących odbłaskach światła, i tylko dolatywał jeszcze stamtąd dźwięk bandzo i słowa pieśni:

*Tyś zaciskała tylko dłoń,  
Wstępując śmiało w mroczną toń,  
I dalej szłaś bez skarg...*